

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 29 lipca 1947 r.

Nr 30 (99)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI

DWIE MOBILIZACJE

U CZONY historyk zastanawiając się nad genezą Manifestu Lipcowego P.K.W.N. musiałby szukać społecznych źródeł reformatorskich koncepcyj tego dokumentu w dorobku wszystkich postępowych, emancypacyjnych ruchów ludowych w Polsce na przestrzeni ostatniego półwiecza przynajmniej. Nie był bowiem Manifest wyrazem jednostronnych dążeń tej lub innej grupy społecznej, ale pełnym i dojrzałym wśród doświadczeń walki z faszyzmem wyrazem aspiracji wszystkich sił postępowych w Polsce. Hasła wymienionych w tym dokumencie reform formułowane były przez kolejne kongresy zarówno partii chłopskich jak i robotniczych wraz z rosnącą w walce politycznej jasnością ludowego programu. Objęcie władzy politycznej przez masę ludową 22 lipca 1944 r. stało się punktem wyjścia realizacji tych historycznych aspiracji ludowego ruchu politycznego.

Przyjęło się też słusznym zwyczajem, by w każdą rocznicę lipcową dokonywać obrachunku osiągnięć na drodze urzeczywistnienia tego programu.

W bieżącym tygodniu przypada trzecia rocznica ogłoszenia Manifestu PKWN.

Prasa polityczna niewątpliwie poświęci wiele miejsca ocenie osiągnięć w zakresie reformy naszej polityki zagranicznej, reformy ustroju gospodarczego, w rolnictwie i przemyśle. Te trzy lata bowiem zamykamy po stronie osiągnięć już nie tylko prawnymi decyzjami, ale ogromną przebudową konkretnych stosunków, rzeczywistego życia społecznego, przebudową zgodną z reformatorskimi decyzjami prawodawcy.

W „Kuźnicy” — inaczej niż w prasie politycznej — chciałbym przy tej rocznicowej okazji rachunku osiągnięć i zaniedbań zająć się sprawami kultury. O reformie bowiem życia kulturalnego, o jego demokratyzacji i uludowieniu mówił również Manifest PKWN.

Niestety osiągnięcia nasze z tego zakresu z trudem poddają się globalnej ocenie. W przeciwnieństwie bowiem do reformy rolnej i reformy przemysłowej — trzecia reforma kulturalna została zaplanowana tylko częściowo — w zakresie ustroju szkolnego i oświaty. W innych dziedzinach życia kulturalnego mieliśmy pożytki z fragmentarycznych, partyzanckich, nie wiążących się w planową całość. Nie znaczy to, by na przestrzeni tych dwóch lat niepodległości nie dało się wymienić przejawów nowego demokratycznego stylu kultury polskiej. Przeciwnie, da się wyliczyć wiele trafnych i doniosłych inicjatyw. Do takich należy choćby ruch świetlicowy zorganizowany przez KCZZ, którego imponujący festiwal widzieliśmy wiosną tego roku. Nigdy dotąd w Polsce nie mieliśmy z takim rozmachem prowadzonej akcji przeszklania ideowego nauczycieli, która w bieżącym okresie letnim objęła ponad 20.000 osób. Bywały naszych stacji klimatycznych stwierdzają, że dzięki organizacji wczasów zmieniły one zupełnie swoje oblicze, stały się istotnie miejscem odpoczynku mas pracujących. Takie przykłady można mnożyć bardzo długo.

Nie należy przytem zapominać, że te pierwsze trzy lata były przede wszystkim okresem gorączkowego odbudowywania baz materialnych naszej kultury: gmachów muzealnych, bibliotek, teatrów, rewindykacji zbiorów, tworzenia drukarni, organizacji technicznej wydawnictw i t. p.

Szczególnie cenny dorobek tego okresu mamy w kształtowaniu podstaw nowej ideologii kulturalnej. Związana z podkreśleniem zastępuje trudny wysiłek myślowych środowisk chłopskich, które przelamywały wsteczne tradycje agraryzmów, mistycyzmów, personalizmów, antyindustrializmów...

Ta cała praca — powtarzam — daleka była od celowej i potęgającej efekty organizacji. Jej dorywcza bezplanowość, rozprasająca wysiłki, była jej główną wadą.

Nie było u nas powszechnego ruchu odnowy, reformy kultury. Ruchu, któryby objął starą i nową inteligencję. Hasło stworzenia takiego ruchu winno narodzić się z tegorocznego lipcowego obrachunku naszych osiągnięć na drodze realizacji trzeciej reformy — kulturalnej.

Do tego zadania trzeba zmobilizować, jak powiedziałem, naszą inteligencję starą i nową.

Tej sprawie wstępnej: akcji mobilizacyjnej pragnę poświęcić niniejszy artykuł.

Trzeba bowiem zanalizować aktualną sytuację inteligencji polskiej. Na łamach naszej prasy ideowej z „Kuźnicą” na czele przeprowadzona została jeszcze w ubiegłym roku długa dyskusja na ten temat. (Artykuły o inteligencji i o młodzieży). Dokonał się niejako rachunek sumienia inteligencji polskiej. Artystyczny wyraz temu dali tacy pisarze jak Andrzejewski, Breza, Brandys, Dygat, Nałkowska, Rudnicki, Ważyk w książkach ogłoszonych po wojnie. Był to rachunek win wobec postępu sprawy ludowej w Polsce. Rachunek surowy, ale słuszny. Pole świadomości zbiorowej zostało oczyszczone. Etap diagnozy mamy za sobą. To też dziś trzeba tym surowym sądom przeciwstawić rozsądną tezę, iż nie ma twórczości kulturalnej, tworzenia nowego stylu życia kulturalnego bez inteligencji, bez jej niezastąpionej znajomości praw warsztatowych tworzenia kulturalnego, bez jej stosunku bezinteresownego entuzjazmu do wartości kulturalnych.

Otóż, udział naszej inteligencji w tworzeniu nowej kultury w Polsce, w świadomym wysiłku realizowania trzeciej reformy jest stanowczo za mały.

Nie da się zaprzeczyć, iż często mamy do czynienia dziś z faktem, iż źródłem chaosu, błędów, bezholowia w naszych poczynaniach kulturalnych jest nieobecność w ośrodkach odpowiedniej dyspozycji ludzi prawdziwie znających się na sprawach kultury, a przeciwnie cierpiący z powodu jej minimalnym znanstwem spraw sztuki czy nauki, o złym smaku, ignorancji i prostactwa.

Inteligencja nasza — wyposażona w dobre znanstwo, smak i poczucie kulturalne — nie umie zwłaszcza współpracować ze swoistymi instytucjami ludowego życia kulturalnego, jak świetlice, TUR-y i TUL-e. Tam często królują szkodliwy dyktantyzm, pełen dobrej woli i niezaradności. Ale gotów byłbym znaczną część niepowodzeń zawodowych instytucji jak np. Film Polski przypisać tej przyczynie. Dlaczego tak się dzieje?

Niewątpliwie głównym powodem jest abstynencja, bezwład, pesymistyczny sceptycyzm samej inteligencji, których polityczne i historyczne źródła odsłoniła wyżej wzmiankowana dyskusja zaczęta prokuratorem prof. Chałasińskiego „Genealogia społeczna inteligencji polskiej”, a w stosunku do inteligencji chłopskiej zawarta w książce J. A. Króla („Drogowskazy na manowcach kultury ludowej”) i w licznych artykułach tygodnika „Wieś”. Dziś nie istnieją już obiektywne warunki rozkładu społecznego właściwego, zwłaszcza w krajach o półkolonialnej pozycji, kapitalizmowi monopolistycznemu, nie ma więc obiektywnych przyczyn takiego kształtowania się zbiorowej postawy wobec życia inteligencji. Obiektywne warunki polskiej dzisiejszej determinują pozytywną postawę pełnego zaangażowania się w życie, które daje wielorakie możliwości, wymaga inicjatywy, nowatorstwa, twórczości.

Lecz jest i druga przeszkoda utrudniająca to zaangażowanie się inteligencji. Przeszkoda, którą przecież inteligencja może i powinna usunąć.

Kultura ma zawsze treść klasową. Jest między innymi narzędziem klasowego panowania. Zawiera obok wartości ogólnoludzkich, które powinny być dziedziczone, również wytwory służące tylko interesowi klasy panującej, wytwory, które winny być eliminowane z nowego życia kulturalnego. Naprzykład: szlachecka poezja Kocha-

nowskiego z racji swej funkcji społecznej w XVI w. i w następnych wiekach była zawsze cenną ogólnonarodową wartością. Ale, powiedzmy, ustrój szkoły sanacyjnej będący narzędziem klasowej selekcji społecznej musiał być odrzucony jako element kultury służący tylko klasowemu interesowi uprzywilejowanych. Emancypujące się masy ludowe mają więc usprawiedliwioną nieufność wobec kultury przeszłości. Chcą z niej zachować tylko to co jest cenne. Podobnie kształtuje się rozumienie nieufność do fachowej wiedzy, do praw warsztatowych, które przecież służyły tworzeniu w kulturze wczorajszej przeszłości i tego co cenne i tego co wrogie. Nie jest rzeczą łatwą odróżnić te rzeczy cenne od szkodliwych, odróżnić prawa tworzenia kulturalnego, które służą nieodzownie powstawaniu rzeczy cennych i które trzeba szanować, od zasad postępowania, które trzeba odrzucić, bo nieuchronnie wiodą do utrwalania klasowej wrogi elementach życia kulturalnego. Zrozumiała jest nieufność do postulatów zawodowych, które wczoraj służyły wrogowi klasowemu, a dziś muszą pomóc w ocenie, co zachować z tej wczorajszej kultury, co jest cennym spadkiem dla nowej, ludowej kultury. To są trudne, antynomiczne omal zagadnienia.

Ale zwycięstwo sprawy ludowej, dobro przyszłej kultury wymaga, aby masy ludowe w znawcach spraw kultury znalazły wyrazicieli swoich postępowych, ideowych dążeń, aby ci znawcy pozyskali sobie zaufanie tym razem zaufanie mas ludowych. Związanie twórczej inteligencji z ideologią ruchu ludowego, zdobycie zaufania tego ruchu dla niej, stworzenie przez to najpożytniejszych warunków budowania nowej kultury w Polsce — to jest hasło mobilizacji polskiej inteligencji, starej i nowej w tę trzecią rocznicę lipcową.

Czy nie przeszkadza tej mobilizacji? Owszem, druga mobilizacja, mobilizacja świadomego czy nieświadomego wstępczństwa. Mobilizacja inteligencji niby w obronie kultury, a w istocie mobilizacja głupców na szkodę kultury narodowej. Te mobilizacje podpisał wszyscy pesymistyczni antyreformiści, którzy nie wierzą w siły twórcze Polski Ludowej, nie widzą uparcie — emigranci wewnętrzni — osiągnięć i jasnej, naprawdę wielkiej drogi historycznej, drogi rewolucji, po której idziemy.

Ludzie ci nie pojmują, że żyjemy w epoce zwycięstw emancypacyjnych ruchów ludowych. Dominantą współczesnej historii jest przecież Wielka Rewolucja Październikowa. Najcenniejszym — także kulturalnie — dziełem mas ludowych jest ich wielka, polityczna organizacja, jest stworzenie politycznych, zorganizowanych ruchów wyzwoleńczych. Udział tego czynnika w nowym życiu kulturalnym przeraża tych nieufnych i zacofanych.

W dziesiątkach artykułów tygodników katolickich i gazet dla wszystkich mobilizuje się inteligencję do walki z „potworem” w obronie kultury. Tak rozumiane są i ze szkodą dla sprawy wykorzystywane nawet artykuły radykałów. Tak było, jak sądzę wbrew intencjom autora, z artykułami prof. Chałasińskiego o reformie uniwersytetów i nauki w Polsce. Krótko mówiąc głosi się, że zagrożona jest wolność i wysoki poziom kultury i twórczości kulturalnej przez podporządkowanie jej biurokracji partyjnej. Thumi się w ten sposób chęć angażowania się inteligentów w pracy nad budowaniem kultury ludowej, niewątpliwie związanej silnie ze zorganizowanymi politycznymi ruchami masowymi i ich postępową ideologią. Mobilizuje ich się pod hasłem abstynencji, stania na uboczu, aby nie przyczyniać się do rzekomej wulgaryzacji, ograniczenia, podporządkowania tej biurokracji politycznej kultury narodowej. Ile słów w tym rozkazie mobilizacyjnym — tyleż kłamstw, bezmyślności, przesądów!

Związek nowej kultury z politycznie zorganizowanymi ruchami wyzwolącymi mas jest faktem historycznym, jest cechą

Zadania wyzwolenia Polski, odbudowy państwowości, doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, uzyskania dla Polski godnego miejsca w świecie, rozpoczęcia odbudowy zniszczonego kraju — oto nasze naczelne zadania.

Manifest PKWN. 22. VII. 1944 r.

TREŚĆ NUMERU:

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI —
DWIE MOBILIZACJE

JANINA KULCZYCKA-SALONI
NIECO INNA PRZEDMOWA
DO „LALKI” (II)

STANISŁAW ŚRENIOWSKI —
MONOGRAFIE HISTORYCZNE (I)

ADOLF SOWIŃSKI —
Z „SESTYN O SAMOTNOŚCI”

RYSZARD GANSZYNIEC —
PRZYCZYNEK NAUKOWY
DO REFORMY UNIWERSYTETU

— Z LISTÓW VINCENTA
VAN GOGHA.

EUGENIUSZ CEKAŁSKI —
OPOWIADANIE EIGERA

ŻANNA KORMANOWA —
PAMIĘCI
WŁODZIMIERZA PICZETY

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

twórczą, cechą kultury naszej epoki. Ten związek jest technicznym warunkiem ułudowienia kultury, jest również tego warunkiem merytorycznym, ruchy te bowiem przynoszą zasoby ideowe nowej kultury, ideologię, teorię, filozofię społeczną nowych, twórczych klas.

Przerosty biurokracji są istotnie złem, ale nie są żadną koniecznością. W Polsce obecnie przeżywamy trudny okres niedorozwoju tej biurokracji t. zn. mówiąc ściślej aparatu administracyjnego państwa ludowego i organizacji ludowych. Aparat ten jest potężnym narzędziem działania i umiejętnie kierowany może skutecznie zwielokrotnić siły twórcze naszego życia zbiorowego. Lęk przed nim — jest poprostu lękiem przed państwem ludowym, przed rzeczywistą realizacją reform i aspiracji ludowych.

Proszę się uczciwie zastanowić. Obskurantyzm naszych szkół wyższych, ich naukowe zacofanie i bezwład raziły dawno. Byłem bardzo młody przed wojną, ale znakomici i postępowi uczeni zaszczykali mnie czasem życzliwością. Prowadziłem wiele rozmów z bardzo politycznie umiarkowanymi rewolucjonistami w nauce jak profesor Zygmunt Lempicki czy profesor Manfred Kridl. Byli bardzo świadomi konieczności reformy naszych szkół wyższych. Podobnie myślących było wielu. I co z tego wynikało? Nic a nic. Dzisiaj, gdy właśnie wpływ na reformę szkół wyższych mają zorganizowane politycznie ruchy ludowe, dokonana się ona z pewnością, zgodnie z postulatami rewolucjonistów, nowatorów w nauce. Podobnie pozytywny jest wpływ zorganizowanych ruchów masowych na inne dziedziny naszego życia, na wszystkie inne dokonywane się reformy. Leży niewątpliwie w interesie kultury, by w tych sprawach nie brudził dyktantyzm i nieznanomość rzeczy. Ale coż leży zarówno w interesie kultury jak i postępu, aby nie brudziło w tym ideowe wstępczstwo, przesąd i obskurantyzm. Fachowiec winien dbać o prawidłową technikę roboty kulturalnej — jako człowiek postępowy winien bronić ludowej, politycznie postępowej treści tej roboty.

To też jedno jest wyjście — w imię potrzeb kultury i postępu — zaangażowanie się naszej starej i nowej inteligencji w pracę nad trzecią reformą, reformą kultury. Ale zaangażowanie się z całym przekonaniem po stronie postępowej ideologii. Jasne opowiedzenie się przeto za politycznym programem zorganizowanych ruchów ludowych w Polsce.

To jest wielka historyczna szansa kultury polskiej i służącej jej inteligencji polskiej.

Dlatego należy zmobilizować się pod hasłem lojalnego zdobycia zaufania mas ludowych dla inteligencji twórczej, dla jej kierowniczej i wykonawczej roli w procesie urzeczywistnienia trzeciej reformy, reformy kultury w Polsce. Należy zorganizować mobilizację inteligencji do masowego braterskiego związania się z masami ludowymi w konkretnej pracy nad reformatorską przebudową naszego życia, wytyczoną po raz pierwszy przez postanowienia Manifestu Lipcowego.

Stefan Żółkiewski

JANINA KULCZYCKA - SALONI

Nieco inna przedmowa do „Lalki” (II)

Lalka, jak to wszyscy stwierdzają, była niespodzianką zarówno dla samego autora, jak dla jego czytelników, była zarówno całkowicie różna od tego, co napisał przed nią, jak też od tego, co napisał po niej. Nie ma w jego twórczości dzieła tak mało zharmonizowanego, lub tak mało zrównoważonego, dzieła, w którym spotykamy w stanie tak powymym najrozmaitsze pierwiastki. Autor tak skąpy, tak powściągliwy w wypowiedziach na temat własnej twórczości, mówił jednak o Lalce, że wiele przeżył ten, kto ją przeżył.

Zacznijmy od głównego bohatera, który do tego stopnia wysunął się na czoło powieści, że przesłonił sobą nie tylko inne postaci, ale nawet inne problemy, tak zaabsorbował sobą autora i czytelnika, że dzieje jego gorzkiej namiętności stały się chyba centralną sprawą powieści. I choć oficjalnie intencje autora, które doszły do głosu chociażby w obmyśleniu tytułu dla powieści, usunęły go na plan dalszy, nie przestał interesować sobą najbardziej. Lalka — w przeciętnej i chyba najtrafniejszej recepcji czytelnika — to samotny olbrzym Wokulski, a gdzieś ogromnie daleko postaci rozmaitych kariów, czy potworów, jak Izabela, pan Tomasz, książę, subiekt itd. Prus, którego na ogół cechuje epicki i bezstronny stosunek do stworzonych w jego powieściach figur powieściowych¹⁾, w wypadku Wokulskiego postępuje zupełnie inaczej. I o ile w stosunku do swych innych pozytywnych bohaterów, (jak np. tak bardzo kochana Madzia, czy sympatyczny dla niego Ramzes) zajmuje postawę życzliwą, która jednak pozwala mu trzeźwo patrzeć, o tyle zupełnie inaczej traktuje Wokulskiego: on z nim cały czas współżyje i współcierpi. Na inne postaci powieści patrzy z jego punktu widzenia. Jakaż w gruncie rzeczy niesprawiedliwość spotkała biedną pannę Izabelę, o której wiemy przecież i my i Szuman i Wokulski, że była, jaką być musiała, bo jej sfera wychowywała, ba, tresowała kobietę do ustawicznej zabawy w miłość, bo uczyła ją traktować małżeństwo jako transakcję, rozwiązującą w sposób mniej lub więcej szczęśliwy jej sytuację życiową. Więc jeśli była taka, jaka być musiała, gdzie jest jej wina? Bo jeśli z nienawiścią i pogardą patrzy na nią zawiedziony wielbiciel, który miast aniola ze skrzydła mi jasnymi znalazł w swej ukochanej sprytną kokietkę, to czy jest to racja wystraszająca, by nią tak samo gardził autor, a nawet czytelnik? Przecież jej autor nie dopuścił nigdy do głosu, przecież ona miała także swoje racje i może by powiedziała, że ja Wokulski razili swoim brakiem „manier”, swoim nieprzystosowaniem do salonu i jego konwenansów, że był przykry dla wyrobionego w niej od dzieciństwa poczucia piękna, a kokietowała go, bo... po prostu nie potrafiłaby nie kokietować mężczyzny.

Tymczasem Prus nie zdobył się w stosunku do swej bohaterki na taką bezstronność: ze zrozumieniem uczonego wyjaśnił psychologiczne i socjologiczne determinanty takiego charakteru, ale ocenił go ze stanowiska jej zawiedzionego, rozgoryczonego partnera. Towarzyszył swemu bohaterowi we wszystkich jego wędrówkach i rozmyśleniach, interesował się każdym jego przeżyciem, każdym najprzelotniejszym nawet nastrojem. Nawet w stylistycznym traktowaniu partyj, w których głównym bohaterem jest Wokulski, dostrzegamy odmienną postawę niż w innych. I tak np. jakie „liryczne” tytuły znajduje dla rozdziałów, poświęconych wyłącznie przeżyciom naczelnego bohatera — Paryż — to „Szare dni i krwawe godziny”, Warszawa po powrocie ze Skierniewic — to „Dusza w letargu”. Opowiada także o jego cierpieniu, „na które w ludzkim języku nie ma już nazwiska, o maleńkiej kropelki gorczy, która osiadła w jego duszy, a którą można by świat zatruć”.

Ten „osobisty” udział Prusa w sprawach Wokulskiego, jakieś ogromnie bliskie i serdeczne z nim współżycie, sprawiło, że czytelnik skłonny jest traktować go jako ideał, jako bohatera pozytywnego, a nawet jako bezwzględne porte-parole autora, jak to zrobił Kott, uznając za wyznacznik wiary autora myśl bohatera, że „w chwili nieszczęścia, kiedy go wszystko zdradziło, jeszcze pozostała mu wierna — ziemia, prosty człowiek i Bóg” (t. II, str. 187).

Wydaje mi się, że takie rozumienie postaci nie jest dostatecznie uzasadnione; jeśli nawet ongiś, dawniej, młody Wokul-

ski był dla Prusa ideałem, był tym wartościowym zadatkiem na człowieka, to w r. 1878 jest człowiekiem, który przynajmniej się załamał, jeśli w ogóle nie zmarł. Sam Wokulski w paryskich rozmyśleniach tak siebie określa: „Jestem człowiek zmarnowany. Miałem ogromne zdolności i energię, lecz nie zrobiłem nic dla cywilizacji... Później przyszło mi na myśl: „na co to on strwoił siły i życie? Na walkę z otoczeniem, do którego nie przystawał. Gdy miał ochotę się uczyć, nie mógł, ponieważ w jego kraju potrzebowano nie uczonych, ale — chłopów i subiektów sklepowych. Gdy chciał służyć społeczeństwu, choćby ofiarą własnego życia, podsunęto mu fantastyczne marzenia zamiast programu, a potem — zapomniano o nim. Gdy szukał pracy, nie dano mu jej, lecz wskazano szeroki gościniec do ożenienia się ze starszą kobietą dla pieniędzy” (t. II, str. 229).

Więc całe życie Wokulskiego w okresie 1878-9 jest właściwie życiem człowieka, który się załamał, który sprzenie-wierzył się samemu sobie. Ożenił się przecież dla pieniędzy z kobietą, której nie kochał i wziął się dla ratowania siebie w opinii własnej i cudzej do pracy, którą pogardzał. I tu jest ta niedoczytana sprawa Lalki — w tej, jak tego chce Kott, powieści o awansie społecznym, bohaterem jest wysadzony z siódła szlachcic, patrzący z pogardą na mrówczą, zapobiegliwą pracowitość Minców. Jego ani sklepik, ani sklep nie interesuje, dla niego bogacenie się nie jest celem życia, pieniądze go nie pociągają ani nie zadawała, choć rozumowo pojmując jego potrzebę. Ileką pogardliwej „szlacheckiej” wyższości, uświadomienia, że jest z innej gliny, niż Mincowie, zabrzmiło w jego rozmowie z Rzekim, gdy mu powiedział: „Mincle i zawsze Mincle!... Dziś niech mnie porównają z Mincami. Sam jeden przez pół roku zarobiłem dziesięć razy więcej, aniżeli dwa pokolenia Minców przez pół wieku. Na zdobycie tego, com ja zdobył pomiędzy kulą, nożem i tyfusem, tysiąc Minców musiałoby się pocić w swoich sklepikach i szlafmycach. Teraz już wiem, ilu jestem wart Minców!...” (t. I, str. 43).

I tu może jest wyjaśnienie tego zastanawiającego Kotta faktu, że Prus uznał za potrzebne „usprawiedliwić” swego bohatera, że zarobił milion. On go usprawiedliwił, musiał usprawiedliwić bo przecież ten szlachcic, dla którego stanowisko bogatego kupca nie było właściwie w jego pojęciu awansem życiowym, mierzył wyżej niż mieszczańscy synowie rzucający hasło bogacenia się i widzący w nim jak np. Połaniecki cel i kres swoich dążeń. On chciał zrobić coś „dla cywilizacji”, chciał się zapisać w dziejach człowieczeństwa głoskami trwałszymi, niż szylł na Krakowskim Przedmieściu. W jego marzeniach jako przeciwstawienie panny Łękiej jawiła się, kobieta, której nie widział głowy ani piersi, „tylko spizowe faldy sukni. Zdawało mu się, że na stopniu, którego dotykają jej nogi, czerni się napis: „niezmienna i czysta”.

Kiedy uspokoiwszy się po skierniewickiej tragedii rozpamiętuje okres, który przeżył pod znakiem panny Izabeli, dziwi się sobie, nie może zrozumieć swojego zbłąkania: „Handel!... ja i handel!... I to ja zgromadziłem przeszło pół miliona rubli w ciągu dwu lat, ja zmieszlałem się z ekonomicznymi szulerami. Stawiałem na kartę pracę i życie, no... i wygrałem... Ja — idealista, ja — uczonec, ja, który przecie rozumiem, że pół miliona rubli człowiek nie mógłby wypracować przez całe życie, nawet przez trzy życia... a jedyną pociechą, jaką jeszcze wyniosłem z tej szularki, jest pewność, że nie kradł i nie oszukiwał... Widocznie Bóg opiekuje się głupcami!” (t. III, str. 230). I oto działalność „ekonomiczna” program gospodarzy Wokulskiego, który poważnie mogą traktować takie błazny, jak Łęcki i książę, ale dla niego samego jest tylko szularką, tylko udziałem w jakimś oszustwie. Wokulski tak samo jak studenci wie, że nie zarobiłby swego majątku nawet, gdyby żył trzysta lat. On gra — gra swoją grę wielkiego aferzysty z całą świadomością, że dopuszcza się oszustwa opętany miłosną monomanią. Perkaliki — to nie jest program społeczny dla człowieka nie tylko o jego wiedzy, perkaliki to droga zdobycia pieniędzy i ugruntowania swojej sytuacji wśród arystokracji. Dlatego trudno nazwać Lalkę powieścią o utraconych złudzeniach liberalnego mieszczaństwa, bo Wokulski ich nie miał, nigdy ich nie podzielał. Obecny na gruncie miejskim, szlachcic o silnych związkach z lep-

szymi czasami swojej grupy (charakterystyczna jest idealizowana choć niewyraźna postać stryja, oficera wojsk polskich), miał złudzenia, gdy jako chłopiec w sklepie Hoffera uczył się przy tojówe, gdy „jako żołnierz szedł do ataku pod gradem kul”, ale nie miał żadnych złudzeń, gdy się wżenił do sklepu Minców.

Zdobywszy zaś majątek, który jemu oświadczył na nic nie jest potrzebny (Prus podkreśla stałe jego skłonność do abnegacji, jego skromny, ascetyczny tryb życia), oddaje go na usługi próżnej i głupiej kobiecie i pod jej wpływem uzyskuje potwierdzenie swojego szlachectwa, kupuje sobie powóz, klacz wyścigową, jednym słowem zaczyna postępować w sposób sprzeczny ze swymi upodobaniami i poglądami. A równocześnie, określając Warszawę jako chory zapadły ką, czuje, że nie jest w porządku, gdy pieniądze w nieuczciwej grze zdobyte marnuje na pańskie zachcianki. I stąd zjawia się u niego zainteresowanie magdalenką (choć w pierwszym odruchu, w psychologicznej genezie, opieka nad tą dziewczyną jest obelgą rzuconą Izabeli), stąd opieka nad Wysockim i opieka nad Węgiełkiem. Wie, że mając pieniądze mógłby użytkować je w rozsądniejszy sposób niż na kupno wyścigowej klaczy, że mógłby robić rzeczy pozytywne, podczas gdy teraz robi głupstwa, boć ani Węgiełek, ani Wysocki nie są przedmiotem zainteresowania dla tego, kto chce przypiąć skrzydła ludzkości, chce wytyczyć cywilizacji nowe drogi.

Taka działalność może przerazić strupieszalego księcia, któremu wydaje się zapowiedzią strasznych przewrotów społecznych. Rzeczywiście tegiego trzeba kretyna, by takie wysnuć wnioski z opieki nad upadłą dziewczyną, czy nad rodziną furmana, któremu padł koń.

Ale dla Wokulskiego... przecież to śmieszne.

Takim właśnie rozczarowanym marzycielem, zmarnowanym geniuszem, wybitną indywidualnością na tle skarlałego społeczeństwa — jest bohater Prusa. O tym, że to jest konflikt nieco anachroniczny, pisał już Chmielowski, dorzucając jeszcze, że Prus nie przekonał czytelnika, że jego bohater jest jednostką wyjątkową. Ale tu się właśnie omylił znakomity krytyk i przekonał, choć przekonywać nie chciał. I na długie lata uznano Wokulskiego a) za ideał człowieka i obywatela, b) za twórcę i realizatora pozytywnego programu, napotykającego na przeszkodę ze strony strupieszalego społeczeństwa.

Jednak mimo niewątpliwej, serdecznej sympatii do Wokulskiego, Prus nie ograniczył się do pokazania tego naczelnego bohatera z jednej tylko strony, lecz dał jeszcze dwa ujęcia tej postaci. Raz kazał patrzeć na jego cierpienia cynicznymi oczyma Szumana, który go doskonale rozumie i interpretuje jego przeżycia w terminach pozytywnej nauki, uświadamiając, że nie ma w nich nic nadzwyczajnego, nic niezwykłego, że wszystko, co się dzieje, zgodne jest z prawami psychiki ludzkiej, z prawami organizmu społecznego.

Ciekawsza jest jeszcze relacja Rzekiego (wbrew potocznym sądom o Lalce broniłabym jej umotywowane kompozycyjnie wmontowania w całość powieści). Przede wszystkim Rzeki zainteresowany wyłącznie polityką przez duże P, odegrał już raz rolę swata w stosunku do Wokulskiego (r. 1863) radby widzieć w nim realizatora swych fantastycznych marzeń o porządku w Europie, który ma zrealizować jakiś mąż opatrnościowy. Dlatego dopatruje się w każdym jego posunięciu tajemnic politycznych i dlatego jest jak nikt inny powołany do dostrzegania bezsensu poczynań Wokulskiego. Jeden maniak doskonale rozumie, a co więcej umie pokazać szaleństwo drugiego maniaka. A gdy wreszcie dał się Szumanowi przekonać, że Stach jest zakochany w pannie Łękiej, układa swój Metternichowski plan, ponieważ dostrzega beznadziejność namiętności przyjaciela. Szuman sztydzi z jego naiwności, ale w jego prostackim i dziecięcym ujmowaniu sprawy jest trochę racji, bo przecież sam Wokulski w chwilach spokoju zapowiadał, że jeśli go panna Izabela odtrąci, to „z tym większym rozmachem padnie w objęcia innej”.

Przez wprowadzenie naiwnej gadaniny Rzekiego np., w chwili odjazdu Wokulskiego do Paryża uzyskał Prus pogłębione spojrzenie na sprawę, którą pokazał od strony bezmiaru cierpienia ludzkiego oraz od strony jego społecznego bezsensu. Dziecinne pytanie, które stawia Rzeki, przekonywane, że się starzeje i że przestaje rozumieć młodych, pytanie: „Warum hat er

denn das getan?” ujmuje jednak sprawę niezmiernie istotnie, uświadamia raz jeszcze tragiczne bezdroża namiętności.

I to spojrzenie na Stacha oczyma jego przyjaciela, właśnie umiającego kochać, ale nie umiającego rozumieć, jest próbą, dokonaną chyba z powodzeniem, oderwania się od nieoficjalnych, a jakże silnych intencji powieści.

Powyższe, może przydługie, historyczno-literackie wywody, miały służyć właściwie jedynie ku obudzeniu wątpliwości, czy możliwa jest do przyjęcia konstrukcja Kotta, skoro dwa jej składniki tj. fakty historyczno-literackie oraz sama interpretacja powieści nasuwają aż takie wątpliwości. Sama zaś metoda konstrukcji, będąca wynikiem stanu np. naszej znajomości okresu, jego historii kulturalnej, gospodarczej, politycznej, a więc metoda, która nie może pójść całkowicie na rachunek autora, nasuwa także zastrzeżenia. Lalka bowiem wystąpiła w rozważaniach Kotta w funkcji dwójki, mianowicie raz jest zjawiskiem literackim, determinowanym przez układ sił społeczno-ekonomicznych i wyjaśnianym przez ich poznanie i odszukanie ich wpływu w elementach dzieła, drugi raz jest dokumentem epoki, traktowanym bez uwzględnienia owej transpozycji w płaszczyznę symbolów literackich.

Nie mamy dotychczas historii gospodarczej naszej drugiej połowy w. XIX dlatego też autor, chcąc wyjaśnić Lalkę przez powiązanie jej z życiem gospodarczym, stanął wobec podwójnego zadania: 1. musiał stworzyć pewien, choćby szkicowy, rys dzieł ekonomicznych Kongresówki, 2. na tym tle wyjaśnić Lalkę. Stąd też łatwo mu przyszło potraktować literaturę jako „zwierciadło każdego wieku i narodu” i Prusa pytać o to, jak wyglądały przemiany ekonomiczne jego czasów.

Przeziąony tym podwójnym zadaniem nie zauważył Kott, że akcja powieści trwa tylko jeden rok: zaczyna się późną jesienią 1878 roku, kończy się wczesną jesienią 1879; pamiętnik Rzekiego daje pewne perspektywiczne spojrzenie w przeszłość, nie daje natomiast jej ciągłego, syntetycznego obrazu. Tymczasem Kott w omawianiu życia gospodarczego Kongresówki zatrzymuje się na r. 1887, tj. roku, kiedy Lalka zaczyna się ukazywać w „Kurierze Codziennym” i w obrębie analizy Lalki wciąga zjawiska późniejsze niż ramy chronologiczne powieści. Czyli, że sam wystawia zle świadectwo Prusowi jako realność, który wciśnął tragedię polskiego mieszczaństwa w lat dwadzieścia, zamiast trzydziestu.

Jednak to nowe spojrzenie na Prusa, mimo swoje niedociągnięcia, przyniosło jedną wielką korzyść poznaniu twórczości Prusa: Kott bowiem powiązał i to w sposób całkowicie przekonywujący enigmatyczne, pełne nieomówień postaci Kleina i studentów z pierwszym „Proletariatem”. Klein i studenci są członkami, lub też są blisko związani z założoną przez Ludwika Waryńskiego w r. 1877 organizacją socjalistyczną. Klein kolportuje socjalistyczne broszurki i proponuje ich przeczytanie Rzekiemu. Są to, zdaniem Kotta, przetransportowane przez Waryńskiego z Lipska do Warszawy: **Kapitał a praca, Pośrednie podatki, Program robotników, Nieprzejednane kierunki, Ciekawe opowiadanie, Precz z socjalistami**.

Socjaliści w Lalce zostają aresztowani i przepędają w połowie roku 1879. Aresztowania „proletariackich” zaś rozpoczęły się jesienią roku 1878, natomiast aresztowania, które nastąpiły w kwietniu i lipcu 1879 roku, rozbiły organizację. Aresztowano wtedy 58 robotników i 79 inteligentów. Wśród tych inteligentów znajdowali się zapewne bohaterowie Prusa — przypuszcza Kott.

Przypuszczenie to wydaje się bardzo prawdopodobne. Powiązanie zaś fabuły Lalki ze zdarzeniem dziejowym stanowi rzetelny argument w sprawie „realizmu” Prusa, wyrastania jego twórczości z rozumienia i przemyślenia otaczającej go rzeczywistości społecznej. Jest także cennym wkładem w poznanie twórczości pisarza.

W zakończeniu swego artykułu Kott, który na ogół ograniczał się tylko do omawiania i interpretowania Lalki poświęcił Prusowi, pojętemu „głęboko” kilka syntetycznych zdań: słusznie tu przypomniał, że pozytywizm, który rozpoczął swą karierę jako ruch przypominający w najgrubszym uproszczeniu polskie oświecenie, skończył się na zainteresowaniu mediumizmem, somnambulizmem, praktykami niemal, że okultystycznymi. Było to przedmiotem złośliwej uciechy ze strony „konser-

¹⁾ patrz artykuł Stanisława Adamczewskiego — Etyka pisarska Prusa, „Zagadnienia Literackie” nr 4 — 6, r. 1946

watywniej" prasy (znajdowała ona także wyraz w ówczesnej powieści) drwiącej sobie z mediowicznych zainteresowań np. Juliana Ochorowicza, któremu równie łatwo było odrzucić wiarę w chrześcijańskiego Boga, usankcjonowaną wiekową tradycją, jak uwierzyć w tajemną moc, reprezentowaną przez niemiecką oszustkę.

Ale zbyt pochopne jest zwalanie błędów Ochorowicza na odpowiedzialność Prusa i dostrzeganie w jego twórczości przejścia do tych postaw irracjonalnych, w których szukał pociechy zawiedziony mieszczanin, a które w tradycyjnej nauce i literaturze noszą nazwę modernizmu, symbolizmu itp.

Bo chociaż Prus w swojej działalności publicystycznej bronił Ochorowicza, swego serdecznego przyjaciela przed wzywanymi atakami, to przede wszystkim starał się obronić jego postawę uczonego, zainteresowanego całokształtem otaczających go zjawisk i nie przypisującego sobie prawa do nazwania nikogo szarlatanem do tego, dopóki mu tego szarlatanstwa nie jest w stanie się dowiedzieć. Sam także interesował się seansami i bywał na nich; współcześni określają jego postawę wobec demonstrowanych zjawisk jako ustawną i bolesną ambiwalencję między niezaspokojonymi tęsknotami metafizycznymi a dominującą u Prusa postawą sceptyka.

A w twórczości swojej poszedł Prus i u swego schyłku innymi nieco drogami, niż jego współrodzimecy. Przede wszystkim praktykami mediumicznymi interesuje się już w *Lalece*, ale to chyba zrozumiałe w

twórczości u wielkiego realisty, skoro u nas w latach 90-tych (tu znowu trochę chronologia będzie szwankować, ale Wokulski widzi to w Paryżu, więc te 10 lat możemy zaliczyć na karb naszej młodszości cywilizacyjnej) pisma codzienne roily się od sprawozdań i protokołów z posiedzeń z rozmaitymi ludźmi, odznaczającymi się rzekomo zdolnościami mediumicznymi, a posiedzenia te (o tym z goryczą pisze Chmielowski) stały się przedmiotem powszechnego zainteresowania i takie wywołały poruszenie umysłów, o jakim marzyć nawet nie mogli publicyści pozytywizmu, przeszczeniający na grunt polski nowe idee.

Więc bohater *Lalki* interesuje się dowiadczeniami Palmieriego przed wszystkim dlatego, że w stanach hipnotycznych widzi analogię do własnych przeżyć, które sam odczuwa jako psychopatyczne. Wyczynów zaś Palmieriego nie potrafi jako przyrodnik objaśnić, pamięta jednak o tym, że każde odkrycie wydawało się szarlatanstwem, ponieważ było sprzeczne z tym, co dotychczas uznawano za prawa natury. Nie chce więc popełnić tego samego błędu, stwierdza tylko, że w sferze jego pojęć zjawisko to nie jest do wyjaśnienia.

Ala już w *Emancypantkach* zajmie wobec reprezentantki mediumizmu pani Arnoldowej całkiem niedwuznaczne stanowisko. Bo i stary Dębicki i nawet naiwna i wierząca wszystkim Madzia wiedzą, że Arnoldowa to spryciara, która posługu-

je się głosami z za świata, aby załatwić swoje własne bardzo przyziemne sprawy, jak np. uwolnienie się od obowiązku opieki nad pasierbami męża. Madzia doskonale wie, że portret matki Solskich jest zręczną mistyfikacją, nie wie tylko, jak ta mistyfikacja została przeprowadzona. Jedyną wyznawczynią spirytizmu jest Ada Solska, o której Prus mówi, że nie umie sobie znaleźć celu w życiu, my byśmy powiedzieli, że jest kobietą niewyżytą. Ale i ona jako żona pięknego Kazimierza Norskiego, na pewno nie będzie miała czasu na rozmowy z duchami.

Trudno więc pomawiać „wielkiego realiste" nie tylko o postawę wyznawcy, ale nawet o postawę sympatyka.

I rzeczywiście drogi innych bojowników pozytywizmu prowadziły daleko poza ciasny krąg zagadnień, który sobie jako młodzi myśliciele zakreślali¹⁾, choć eksredaktor „Niw" zajmował się zupełnie poważnie mediumizmem. Długosiński kończył na mglistym mistycyzmie czy pseudo-mistycyzmie *Godów życia*, „wielki pozytywista", jak go Kott utytułował, zakończył artystyczny trud swego żywota układem Dębickiego w *Emancypantkach* i *Faraonem*.

Wykład Dębickiego, jako ciekawa konstrukcja, oparty jest na znajomości wielkich zasad i teorii fizyki i w ogóle przy-

¹⁾ Por. np. Julian Ochorowicz: *Wstęp i poglądy ogólne na filozofię pozytywną*. Warszawa 1872.

rodzawstwa XIX w. Jest próbą oparcia całej konstrukcji spekulatywnej o fundament najnowszych zdobyczy naukowych²⁾. „Faraon" zaś jest wielką konstrukcją, może nawet bardziej intelektualną niż artystyczną, tworzeniem światopoglądu, opartego na poznaniu i zrozumieniu dziejów.

W tej ostatniej pozycji dojrzałej, wielkiej twórczości Prusa widziałabym raczej dowód jego anachroniczności, niż jego prekursorstwa. Przyjąwszy pewne składniki tego poglądu, który nazywamy pozytywizmem, przetrawiwszy je i uznawszy za swój pogląd, wytrwał na zajętych stanowisku, bez względu na te tendencje, które kiełkowały, a nawet wzrastały chok niego.

I dlatego nie wydaje mi się do przyjęcia pogląd Kotta, że Prus „postępowy nauczyciel mieszczaństwa" wskazywał mu drogę ku rozmaitym typom irracjonalizmu (zdanie: „ziemia, prosty człowiek i Bóg" nie może być przecież poważnie rozpatrywane jako Prusowski slogan, nie może pójść na rachunek autora *Lalki*). A czyż można znaleźć w *Faraonie* ideologię zawiedzionego mieszczaństwa „szukającego ucieczki od rzeczywistości, której nie może już opowiedzieć"? W *Faraonie*, który pokazuje żelazne, twarde prawa dziejów i za jedyną drogę kształtowania i wpływania na nie, uznaje intelektualne ich opanowanie. Janina Kulczycka-Saloni

²⁾ Bolesław Gawęcki — *Filozofia teoretyczna Bolesława Prusa*. Przegląd Warszawski 1923.

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

MONOGRAFIE HISTORYCZNE (II)

TRADYCYJNY, z pozoru mechaniczny, podział dziejów Polski przedrozbiorowej we dług królów, ma za sobą poważne racje. O przebiegu historii decydują przede wszystkim obiektywne warunki każdego czasu, tendencje rozwojowe i możliwości realizacyjne. Stosunek sił społecznych wewnątrz kraju i sił cywilizacyjnych między państwami, ale te reguły teorii dziejów, wyrażające w języku pojęć abstrakcyjnych wyniki spostrzeżeń i doświadczeń, nie wykluczają ani nie zaprzeczają rzeczywistej prawdy, że historię tworzą ludzie. Przeciwnie, tylko w powiązaniu z tą prawdą reguły rozwoju historycznego mają istotny sens.

W *Ustroju Polski przedrozbiorowej*, w królestwie przeistaczającym się stopniowo w Rzeczpospolitą — szlachecką, król — w coraz mniejszym stopniu jedynowładca, ostatecznie tylko jeden z trzech „stanów" sejmowych, był jednak w każdym etapie dziejów przedrozbiorowych tą osobistością, przy której lub przeciwko której skupiały się główne siły polityczne danego czasu. W osobie króla, w jego pozycji, w jego działalności najwyraźniej odzwierciedlały się charakterystyczne znamiona czasów; kiedy pozycja jego była mocna, bardziej niż kto inny wpływał na bieg wypadków; kiedy malała, rola jego ujawniała siły warstw społecznych dobijających się udziału we władzy państwowej. On i te warstwy — poprzez niego, przy nim lub przeciwko niemu i temu układowi sił, które on reprezentował — to główne czynniki akcji politycznej w kraju.

Monografie rządów poszczególnych królów prawidłowo zatem ogniskują przebieg dziejów, zwłaszcza politycznych i wiele mogą wniesić w naukę.

Polityka, to jednak nie autonomiczne, polityka jest narzędziem, zawsze i tylko czemuś służy, coś wyraża i może dlatego wynikać się spod naukowych reguł, jeżeli ich szukać w kręgu oderwanej od podłoża, zewnętrznej jedynie, aktywności politycznej narodu.

Rok 1946 przyniósł dwie nowe monografie królów polskich, dokładniej okresów ich panowania: Bolesława Krzywoustego i Zygmunta Starego. Niewielu panujących naszych otrzymało dotąd osobne opracowania, to też dzieła dwóch poważnych historyków, prof. U. P. Zygmunta Wojciechowskiego i prof. Uniw. Wrocławskiego Karola Maleczyńskiego powinny stanowić — wśród historyków przynajmniej — wydarzenie.

W obu monografiach zastosowana jest podobna metoda pisarska. Odwołuje się do jej charakterystyki, którą skreśliłem w „Przebiegu piśmiennictwa historycznego za rok 1946" ogłoszonym w Nr 11 (80) „Kuznicy". Wolne w zasadzie od aparatu naukowego, przypisów, polemik etc. zawierają wykład przebiegu dziejowego, skonstruowany na podstawie dotychczasowych opracowań oraz własnych studiów źródłowych autora; granicą wkładu obu rodzajów nie jest widoczna w tekście, można tylko porównać poglądy, konstrukcje autora z poglądami dotąd reprezentowanymi w historiografii co do poszczególnych wydarzeń, ich zespołów, całokształtu panowania stanowiącego przedmiot monografii.

Okres panowania Zygmunta Starego ma szczególną wagę w dziejach naszych.

Zygmunt Stary — to w polityce zagranicznej wojna z Moskwą i jej początki, układ wiedeński z Habsburgami (1515 r.) i traktat krakowski z Hohenzollernami (1525 r.) w polityce wewnętrznej: początki ruchu szlache-

pod hasłem egzekucji praw, statuty przeciwko chłopom i mieszczaństwu.

Przypomnijmy poglądy na politykę Zygmunta autorów dwu syntez dziejowych, Bobrzyńskiego i Konopczyńskiego. „W polityce zewnętrznej abdykacja" — formuluje ostro Bobrzyński. Utrata Smoleńska na rzecz Moskwy, sprzedanie we Wiedniu dziedzictwa Jagiellońskiego (Czech i Węgier) Habsburgom „za miskę soczewicy", podpisanie w Krakowie „dla chwilowej korzyści i miłego spokoju hańbiącego traktatu, który niejako był przyznaniem, że już Polska żadnej wielkiej sprawy podjąć i poprowadzić nie zdolna".

Konopczyński chce widzieć i dobre strony tej polityki. A więc, wprowadzić nie ulega wątpliwości, że zjazd wiedeński był sukcesem Maksymiliana, ale ten sukces nie był dla Polski bynajmniej klęską. Unia dynastyczna polsko-czesko-węgierska nie nie dała Polsce, przeciwnie groziła uwikłaniem Polski w wojnę z Turcją i odwróceniem jej sił od nie mniej ważniejszych spraw bałtyckich i nadnieprzańskich. I konkluzja: „Cieżar walki z Turcją o Węgry brali teraz na siebie Habsburgowie, przez to samo coraz bardziej obcy niemieckiemu światu i coraz mniej nadający się na wodzów germańskiej falangi w jej parciu na wschód". A zatem układy wiedeńskie z punktu polskiego jako środek spełnienia ofensywy niemieckiej (habsburskiej) przeciwko Polsce, jako narzędzie odwrócenia jej ku jednemu z wrogów Polski.

A rok 1525? Świeckie, protestanckie państwo w Prusach — „czemże będzie takie państwo o kilkuset tysiącach ludności bez oparcia o cesarza — gorzej, bo zwalczane wszystkimi środkami cesarstwa. Musiało ono stać się dependencją Polski".

Wojciechowski¹⁾ znajduje dla obu aktów słowa jeszcze bardziej przychylnie. Układ wiedeński to nie jednostronne ustępstwo Polski, to kompromis, gdyż cesarz zrzekał się patronatu nad w. mistrzem i sztykan w stosunku do Gdańska i Elbląga — te właśnie korzyści nazwał Bobrzyński „miską soczewicy" — za ustępstwa Maksymiliana w sprawie krzyżackiej płacii Zygmunt osobno i sownie: rezygnacją z prawa Polaków do połowy miejsc wśród braci zakonnych, zdobytego w pokoju toruńskim.

Istotną przyczyną układu wiedeńskiego leżała gdzieindziej. W sprawie moskiewskiej. Ona była dominantą polityki polskiej według wyrażenia Wojciechowskiego. „Polityka Jagiellońska przychodzi do wniosku — pisze on — że nie może walczyć równocześnie ze wschodem i zachodem. Postawiona tedy przed współdziałaniem habsbursko-moskiewskim decyduje się na porozumienie z Habsburgami. Danie nadziei Habsburgom na tron czeski i węgierski dokonało się pod wpływem przekonania, że w hierarchii problemów polityki polskiej sprawy wschodnie zajmują ważniejsze miejsce przed czeskim i węgierskimi".

Nie była to jednak hierarchia absolutna — według Wojciechowskiego. W rzędzie problemów polityki polskiej oparcie o Bałtyk i posiadanie Gdańska miało znaczenie kluczowe.

Układ krakowski (w terminologii Wojciechowskiego znowu: kompromis) miałby być wymierzony przez Polskę przeciwko Habs-

burgom. Wedle systemu politycznego francuskiego: popierać państewka protestanckie celem wewnętrznego rozbięcia Niemiec.

W stosunku do tezy Konopczyńskiego u Wojciechowskiego występuje odmienna argumentacja, ale identyczny układ figur na szachownicy: Prusy przeciwko cesarstwu.

W sumie pochwała polityki zagranicznej Zygmunta: „otrzymał Zygmunt w spadku bardzo ciężkie dziedzictwo. Sytuacji wewnętrznej nie rozwiązał, co gorzej popsuł ją; w polityce jednak zagranicznej wskazał miejsce Polski na północy, nad Bałtykiem, w szerokim bloku między Niemcami i Rosją".

Problem niezgodnych ocen historycznych stanowi jądro krytycznych postaw wobec historii jako nauki — głównie u niehistoryków; historycy przechodzą zwykle mimo niego, sprowadzając sprawę niezgodności do prostej, naturalnej i oczywiście różnicy umiejętności zbliżenia się do prawdy u badaczy poprzedników a u nich samych. Taka interpretacja (niezawsze wypowiedziana) oznacza poczucie przewyższenia błędów poprzedników w własnej pracy, poczucie w pewnym stopniu konieczne w wysiłku twórczym.

Ala spójrzmy na typy ocen: poprzestajemy na trzech autorach wyżej wymienionych. W jednym z nielicznych przypisów do swoich „Dziejów Polski" formuluje Bobrzyński zasadę: ocenę prawdziwą dyktują (faktu) następstwa. Można by sprawdzić na ile stosuje Bobrzyński tę zasadę i wskazać miejsca, gdzie o niej nie pamięta; w jego ogólnym poglądzie na dzieje Polski myśl o następstwie tych dziejów, o rozbiorach Polski, odgrywała decydującą rolę. Ocena całej przeszłości Polski dokonana została pod kątem rozbiorów i na tym też idea silnego rządu jest zrozumiałym wnioskiem z przeciwieństw między ustrojem państw rozbiorowych zaborczych a ustrojem upadającej Polski.

Inna sprawa na ile w głąb procesów dziejowych sięgała ta ocena oraz jaki zasięg wolno zakreślić „przyczynom" i „skutkom".

Za jedną z przyczyn słabości Polski przedrozbiorowej uważał Bobrzyński ekspansję Polski na wschód. „Zadanie to — pisał — pochłonięto nasze najżywniejsze siły, rozprószyło je na daleki wschód, zamiast żeby się miały na ciśniejszej przestrzeni wzmoczyć, zjednoczyć i do głębszego a ruchliwszego oburzenia życia". „Chcemy tylko na chwilę pomysł, że te miliony ludności polskiej, ten kapitał i praca, któreśmy na wschód popchnęli, pozostały w naszych etnograficznych granicach, jakąż odmienną koleją byłby obrał wewnętrzny nasz rozwój".

Posługując się Bobrzyński i innym językiem, mówi o postawnictwie Narodu i za jedną z „wielkich myśli przewodnich" narodu polskiego uważa „rozpostarcie cywilizacji na szerokie przestrzenie wschodu". Bobrzyński był jako czynny polityk konserwatystą. W uwagach do „Dziejów" mówi o „zabijającej równości", a o „zdrowej nierówności społecznej" — ekspansja na wschód budziła w nim dwojaki oddźwięk.

Synteza Konopczyńskiego powstała w latach międzywojennych. Rehabilitacja przeszłości stała się wówczas sprawą moralnie konieczną. Konstytucja z 1921 r. nawiązywała do Konstytucji 3-go Maja, powoływano się na prawa historyczne Polski, trzeba było umożliwić posługiwanie się potęgą tradycji. Na ogół nie starano się w inny sposób nawiązać do przeszłości. O społecznej łączności inteligencji w okresie międzywojennym ze szlachetną pisano już wiele. Należałoby

wskazać także związki między nacjonalizmem tych lat a poszlachecką tradycją.

Monografia Wojciechowskiego powstała w zupełnie odmiennych warunkach, po ponownej katastrofie; mimo to nie Bobrzyńskiego a Konopczyńskiego poglądy patronują tej książce. W kilku głównych rozdziałach, jakie w niej zawarto, można by dopatrywać się też wpływu popularnej filozofii politycznej z czasów ostatniej wojny: oto koncepcja dwóch wrogów, niemożności skutecznego odporu na dwa fronty naraz, szansa polskich w przypadku rysów między Niemcami północnymi (protestanckimi, pruskimi) a południowymi (katolickimi, austriackimi). Czy tezy te nie są jednakże truizmami i czy coś w istocie wyjaśniają?

Język, którym przemawia do nas wciąż jeszcze historiografia, przestaje być zrozumiałym. Nie on, a my się zmieniamy. Poszukiwanie rozwiązań o treści odpowiadającej przeżyciom, obserwacjom, doświadczeniom współczesnym nam, rozbija się o oderwane, wyabstrahowane, formalistyczne i nieprzydatne pojęcia: wschodu i zachodu, demoniowania polityki o jednym kierunku geograficznym nad innymi, hierarchii problemów państwa etc. Czytelnik domaga się ujawnienia wyraźnej treści tych terminów: wschód — zachód; jakie zagadnienia gospodarcze, społeczne, narodowe zawierają się w tych drogowskazach? Hierarchia problemów — jakich? Polityka pokoju czy wojny jest ostatnim wyrazem wewnętrznej struktury państwa, jego polityki ekonomicznej, układu sił społecznych, ustroju państwa.

Jeszcze ciągle popularna jest psychologizna interpretacja historii. Jaka była intencja kierowników pewnej akcji politycznej, co mogła dać ta akcja, czego można się było po niej spodziewać — z reguły stosuje się taki wywód w celach rehabilitacyjnych, broni słuszności działań, wyrok nabiera charakteru wyroku sądowego, który powinien liczyć się z intencją, z motywami psychologicznymi sprawcy.

Ala oceny historyczne są zupełnie czym innym niż kwalifikacja moralno-prawna zdarzeń i ich aktorów. Ma rację Bobrzyński, kiedy domaga się ocen według następstw a nie intencji, nie ma — gdy oceny według następstw traktuje jako oceny moralne.

Oceny historyczne mogą (i powinny) stanowić tylko ocenę związków, zależności, określać stosunki między czynnikami dziejowymi, wskazywać siły społeczne działające w pewnym czasie, podłoże tendencji i możliwości realizacji programów politycznych, słowem mierzyć, oceniać realne elementy historyczne przez zestawienie z innymi współczesnymi elementami i wyrażać sądy oznaczające stopień odpowiedzialności i współmierności względnie niezgodności akcji i zdarzeń — z kontekstem warunków dziejowych.

Tak należałoby postąpić i z polityką polską za Zygmunta Starego. Do zwalczania jest trudność ogromna, brak dostatecznie rozległych studiów z zakresu historii społecznej i historii gospodarczej, któreby pozwoliły oprócz zarys „polityki" na czynnikach ustroju ekonomicznego i socjalnego w tym okresie dziejów naszych. Ale próby powiązań w tym kierunku są nie tylko pożądane, są konieczne.

Odwrotem od formalizmu historii politycznej, od techniki oderwanej kombinacyjnej gry bez pokrycia w życiowej treści problemu — to postulat, który musi się w historiografii

¹⁾ Wojciechowski Z. Zygmunt stary (1506-1548) str. 394. Warszawa 1946. Wydawnictwo S. Arcta (Biblioteka Wiedzy o Polsce, tom I).

przyjąć. I można się spodziewać, że na tej drodze pomniejszą się rozmiary dowolności interpretacyjnej, czyniącej na historyków wówczas, gdy koncepcje ich nie mają realnego sprawdzianu historycznego a zadowolają się poprawnością formalną, „wewnętrzna logika” posunięć w abstrakcyjnej grze.

W monografii p.tera Wojciechowskiego jest jeszcze jeden „podszwany” wątek. Niemiecki. Autor wypatruje wprawdzie w Niemczech w dziejach naszych z tak wyostroszoną czujnością, że nieraz ma się wątpliwości, czy spostrzeżenia jego dotyczące tych spraw są słuszne. Prześniawiają mu one wymiary reszty problematyki dziejowej, ma się uczucie, że obraz historyczny został przekrojony do wizji politycznej zbudowanej wypadkami polskimi z 1939 r.

Daje to zresztą i wiele pozytywnych efektów. Szczegółowy spisunko naszego do Niemiec (Habsburgów, Zakonu, księcia pruskiego, elektorów) zostały zebrane w takiej obfitości jak nigdy dotąd, wśród nich wiele mało znanych i nieznanych, na niejednym problem padła w istocie nowe światło.

Ale rola problematyki zachodniej dla Polski XVI w. i postawa kierowników polityki polskiej wobec niej nakreślona została przez Wojciechowskiego pod wyraźną sugestią współczesności. Chociażby ten tytuł jednego z rozdziałów: „Punkt ciężkości państwa przesunięty nad Bałtyk (1526 r.)”. Albo jedna z konkluzji książki: „w ścisłym związku z poprzednim faktem (skosnienia zasady wolnej elekcji przy udziale całej szlachty) pozostaje urobienie się przekonania, że sposobem zwalczania nienawistnej narodowej polityki przyjaznej Niemcom jest odwołanie się w takich sprawach do całego narodu”. „Szlachta bojąc się Niemców i Niemca na tronie polskim, pomna losu Czechów, strzeże zasady wolnej elekcji i ograniczenia króla. Rodzi się w ten sposób polska „złota wolność”.

Gdyby choć była także uwydatniona w tym związku rola ekspansji państwa szlacheckiego, wojen z Moskwą, stosunków z Turcją!

Zywy protest budzi się i wobec następnego punktu konkluzji: „w ścisłym znów związku z poprzednim (por. poprzedni cytat St. S.) pozostaje zasada suwerenności prawa w Polsce, która od tej chwili wchodzi w krew i kość społeczeństwa polskiego”.

Ależ to jak gdyby wyjęte z „Ducha dziejów” Chołojewskiego!

„Rzplta Polska będzie w następnych wiekach zbudowana źle, ale będzie zbudowana na prawie, Polska bowiem od XVI wieku staje się państwem prawnym”.

To zdanie prowokuje do dyskusji, która nie mieści się w ramach niniejszego sprawozdania.

Ale nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z książką wielkiego historyka. Erudycja, koncepcja, pewność myśli, jasność wykładu. Może najciekawszy jest rozdział o strukturze wewnętrznej państwa („Ferment wewnętrzny 1519—1526”), oparty głównie na Tomljanach, na pomnikowym wydawnictwie aktów prawodawczych z czasów Zygmunta Starego, Corpus Juris polonici, opracowanym przez Balzera, na badaniach Pocięchy, dotąd w małej tylko części opublikowanych.

W końcowym rozdziale pt. „Król senatorski” powtórzona jest raz jeszcze (wyzyskana już w innym ustępie) ta znamienita wypowiedź króla: „Wydaje się nam zawsze najzłobniejszym, że senatorowie nasj spierając się między sobą i bacząc na swoje sprawy prywatne powodują stały wzrost autorytetu szlachty w prowadzeniu spraw Rzpltej.” (Acta Tomic.)

„System rządów senackich — dopowiada autor — równał się znacznemu wpływowi sfer kościelnych na bieg polskich spraw państwowych”.

I konkluzja. „Był Zygmunt w swej strukturze psychicznej wytworem pojęć urobionych pod znacznym wpływem kościoła przez średniowieczny czynnik społeczny, jakimś nowym Leszkiem Białym, czy Bolesławem Wstydlwym, ale już nie Włodzisławem Laskonogim. O średniowiecznym obliczu Zygmunta świadczy i jego stosunek do pojęcia Rzeczypospolitej chrześcijańskiej”.

Na te utarte opinie o renesansowym, nowożytnym obliczu złotego wieku Zygmunta, charakterystyka ta ma doniosłe znaczenie. Wnosi poważną poprawkę w zakresie społecznego układu stosunków.

Stanisław Srenowski.

TREŚĆ NUMERU 29:

Stanisław Kulczyński — Zagadnienie organizacji nauki. Zygmunt Radek — Święto morza w Pruszkowie. Janina Kulczyńska-Saloni — Nieco inna przedmowa do „Lalki”. Włodzimierz Michajłow — Jeszcze raz wokół sprawy pochodzenia członka. Julia Hartwig — Kronika Francuska. Stefan Otwinowski — W Krakowie (list dwudziesty trzeci). — Kronika Radziecka. Wanda Żółkiewska — Wspomnienie o Marii Zarembskiej - Broniewskiej. Zygmunt Radek — „Rzeź niewiniątek” L. Pasternaka. Henryk Ułaszyn — Towarzystwo miłośników języka polskiego. Adam Kotuła — Powieść o Anglii powojennej. Przegląd Prasy. Noty.

ADOLF SOWIŃSKI

Z „SESTYN O SAMOTNOŚCI”

Nie ploszę czerni z faid piaszeza, gdy tuje
brzęczą o mury przesnute wilgocią,
nie ploszę czerni, gdy los nie znajduje
pragnień nąd sercem jak pszczoł nad paprocią,
widziana dawno gdy rosła nieczuicie
w furcie otwartej na dzwony i ule.

Zachód i garbus o włosach komety
idą przez lasy po tętnach jelenia,
stygna uściski, piją wodę krety
i wiatr policzki chłodem zarumienia,
opar oparty na wirach z koralu
pachnie jak żywiol, w którym zamieszkałi

pokrewni światłu synowie wzgórz mięły.
Gdybym przebrnąwszy oczami nizinę
przeniósł horyzont wstecz o dwa zakręty
drogi poza mną, wierzyłbym, że młnę
jak skarabeusz, który szedł tak długo,
aż stał się cały własnych śladów smuga.

Lecz zmrok jak pejzaż odbity na dzwonie
gubi horyzont. Idę, jestem gotów
do snu pod drzewem gdy panna w robionie
wyjmuje jabłka z zielonych łopotów,
ręką i kłosem potrąca o echa
i zna od owoców jak brąz się uśmiecha.

Ponowne życie po zejściu do sadu,
gdzie kampanile sięgają cieniami
trwa chwilę, którą przetrwałby blask gradu
w upalnym polu. Ale wpięrow pod namj
— i mną i sadem — mija wiatr bez mowy
jak płaz wysnuty z kolorów dąbrowy.

Mija i wpełza na kładki z jesionu,
które prowadzą do lat bez przeszłości,
gdzie występuje jak anioł z kanonu,
wśród słów o wianiu żył szczęście z młodości,
gdzie lnu nie można odróżnić od rzeki,
domu od chmury, liścia od powieki,

a źródła w nocy od nozdrzy szczenięcia,
gdzie wszystkie okna wychodzą na fatum!
Garbus w uśmiechu zataja zakłęcia,
jak wodorosty za modrą poświata
i patrząc na mnie wręca mi przez burzę,
która nas dziełi, cień ptaka na górze.

Bo dwie młodości: dzisiejsza i była
przedziela we mnie stulecie praw burzy,
Tamtą szła wsiami, tam się już ściemniło,
i koń zaparskał i ezolo się chmurzy,
sto wierzb kołata o koła na stawie,
gdy z ciemnych pragnień budzą mnie żurawie.

Czas się pochylil ku mnie jak złamana
malwa ku oknu, czuje go na czole,
pemo go w domu, pachną nim kolana
tej, która żyła gdy pełniła rolę
dna dla nadziei podobnej do studni,
gdzie im jaśniejsi tem senniejsi obliudni

chcą zakryć przestrzeń domownicy pogód:
obłoki. Mogę więc wiry w jej włosach
do czasu kiedy ciszą wstrząśnie kogut
jak śmierć balladą, a rosa na kłosach
pośród odbitych gwiazd i lamp wołaniu
wynie leb konia w kształt liścia akantu.

Adolf Sowiński

RYSZARD GANSZYŃCIEC

Przyczynek anegdotalny do sprawy reformy uniwersytetu

Trudności zagadnienia wiążą się ściśle z istotą uniwersytetu, który z jednej strony jest instytucją badawczą, z drugiej zaś szkołą fachową: przy tym procent naukowców wychodzących z uniwersytetu jest znakomy (może 2 proc.) w stosunku do wielkich rzesz lekarzy, prawników, nauczycieli, wywodzących się jako aktywne siły w życie narodu. Dwoistość ta charakteru instytucji odbija się we wszystkich. O ile w ogóle nie może być mowy o jakimkolwiek ograniczeniu badań bez względu na poglądy naukowe i przekonania religijne lub polityczne uczonego, o tyle można rozumieć dążności zmierzające do poddawania uniwersytetu jako szkoły fachowej tym samym ograniczeniom, jakie obowiązują inne zakłady szkolnictwa, których część organizowaną stanowi uniwersytet — dla nich ministerialnie polecony podrekcję jest obowiązujący. Jednak recepty dla rozszerzenia profesora na badacza oraz pedagoga jeszcze nie znalazł i jest rzeczą prawie, że pewną, że próba przymuszenia profesora do przestrzegania jakiegokolwiek katechizmu ideowego zabije w nim też badacza, właśnie to co najniebezpieczniej.

To jest zagadnieniem zasadniczym, wobec którego wszystkie inne są wręcz drugorzędne. Wprowadzenie teoretycznego biorąc jest samorząd uniwersytetu właściwie korelatem do wolności nauki i nauczania, tak jak ekonomiczna niezależność najlepsza jest rekoniem wolności narodu. Jednak dawno za nami leżą te czasy, kiedy uniwersytet, oparty o bogate fundacje, był ekonomicznie samowystarczalny — teraz życie z budżetu państwowego i trudno odmawiać prawa dysponowania i zarządzania temu, co daje fundusze. Profesorowie uniwersytetu zresztą, według moich doświadczeń, nie są dobrymi administratorami, a gdy się wybił taki talent, stało się to kosztem nauki. Tu już dawno przed wojną proszła się reforma.

Bardziej skłomplikowane są warunki ciała profesorskiego. Tzw. władze akademickie z ich jednorocznym turnusem są ornamentalnym przytykiem: nam trzeba władz właściwych, nie manekinów od reprezentacyjnych władz obeznanych ze sprawami, mogących zakreślić sobie kilkuletni program prac, i niezależnych wobec samych profesorów. Znaczący to, że kadencja tych władz powinna być co najmniej 3-letnia. Nominacja czy wybieralność jest zagadnieniem drugorzędnym i raczej sprawa wzajemnego zaufania: nie trudno np. byłoby desygnowanie przez rząd jednego z prezentowanych przez profesorów kilku kandydatów. Bo i wybieralność ma swe zalety: inaczej bowiem nie widzielibyśmy racji, dlaczego właśnie w ZSRR obecnie przyswiera się uniwersytetom prawo wybieralności dziekanów i przewidziano nawet w niedalekiej przyszłości wybieralność rektorów przez Radę Profesorów.

Ciała profesorskie powinny być uzupełniane drogą konkursu. W wyborze kandydatów przez samych profesorów decydują czasem momenty nierzeczowe i nienaukowe, momentów tych nie wyklucza desygnowanie profesorów przez rząd. Forma konkursu gwarantuje największą rzeczowość, o ile oba czynniki, rząd i uniwersytet, zgodnie współdziałają.

Są idealne ustawy i konstytucje, ale mimo to żalosny stan kraju, są wadliwe ustawy, przestarzałe konstytucje, ale mimo to porządek i dobrobyt. Czego nowe zwłaszcza uni-

wersytety potrzebują, pnie potrzebują, to wprowadzenia czynnika nadrzędnego, regulującego prace uniwersyteckie. Dawniejsi wysoki poziom naukowy, wysokie poczucie społeczno-narodowe ciała profesorskiego, dla którego pełny samorząd był właściwą formą wyżycia się, stworzyli cuda w krzewieniu nauki i kultury. Dziś wobec faktów wolno wątpić czy dawny samorząd jeszcze spełnia swe zadanie, czy profesorowie dorosli do niego. Średnio-więcej przekazano nam pouczającą dykteryjkę. Żyd zapytał zakonnik, czy chrześcijaństwo naprawia przestępstwa przepsów Nowego Testamentu. — „Oczywiście”, odpowiedział zakonnik. — „A macie przecież przepis, że jeśli ktoś was uderzy w policzek, macie nadstawić drugi. Czy to tak?” — „Pewnie”, potwierdza zakonnik. Żyd więc, chcąc wypróbować solidność zasad chrześcijańskich, uderzył zakonnika w twarz — ale otrzymał taki siarczysty policzek, że zwałł się na ziemię. Stanawczy znów na nogach, pyta głęboko rozczarowany: „Jakto, ty nie przestrzegasz przepisów ewangelii?” — „Ale owszem, mówię zakonnik, tylko, że mamy tekst, ewangelie, a do niego komentarz, tekst głosimy, a według komentarza żyjemy”.

Innymi słowy, dyskusje teoretyczne znaczą mało, bo pod osłoną wzniósłych hasel możliwe są rzeczy wcale brzydkie. O tej rzeczywistości właśnie się nie mówi, gdyż każdy, jak ten żyd zakonnikowi, wierzy teoretykom na słowo: ale warto poznać komentarz żydowy, i tego chciałbym wiedzieć, kto potem powie, że nie trzeba reformy samorządu. Biorę pierwszy lepszy przykład, jak np. w Wrocławiu rozumieja samorząd uniwersytetu. Ob. mgr. X pragnęła kontynuować przerwaną przed wojną studia i lecać na poparcie moralne i materialne uniwersytetu, porzuciła posadę nauczycielki, dzięki której utrzymywała siebie i dzieci, ucząc po 40 godzin tygodniowo i przygotowując się nocami do doktoratu. Po przyjeździe męża przedłożyła w lipcu 1946 w Wrocławiu dysertację doktorską i przela o posadę asystentki, która jej też przyrzeczono. Podanie przyjęto bez wszelkich zastrzeżeń i prace odesłano do oceny profesorów i historii starożytnej. W październiku nadesłał on do dziekanatu ocenę dysertacji, ocenę bardzo przychylną: według przepisów miała teraz Rada Wydziału wyznaczyć termin komisji do egzaminów ścisłych. Sa wydział, stosując ściśle te przepisy — w Warszawie np. niedawno 6 maja przyjęto dysertację i wybrało komisję i już 7 maja odbył się egzamin: to więc było według „tekstu”. W Wrocławiu postąpiono według „komentarza”: przed posiedzeniem Rady Wydziału zebrał się konwentykiel profesorów, uzgadniający linie postępowania, aby nie dopuścić mgr. X mimo przychylniej oceny dysertacji do egzaminów ścisłych. Ponieważ kandydatka przypadkiem jest żoną profesora, uchwalila sobie ta kilka, że żona kolegi nie może zdać egzaminów na naszym uniwersytecie (ani przepis ani też prawo zwyczajowe takich wyjątków naturalnie nie znają). Odpowiedni punkt porządku obrad Rady Wydziału zatwierdzono w ten sposób, że wbrew przepisom zarządzono poufną część posiedzenia, na której przyjęto wniosek kilku, że żona kolegi nie może się doktoryzować u nich: tak, że kandydatce faktycznie zostawiono wybór między rozwiędem z mężem, a wyjazdem zagranicę, aby dopiąć doktoratu. Poufne posiedzenie Rady Wydziału smutna

mają tradycje, bo traktują sprawy, do których Rada nie życzy sobie wglądu i, ponadto stwarzają dokoła sprawy specyficzną, zairutną atmosferę: poważni profesorowie dlatego też mają wstręt do tego sztucznego tworzenia nimbu tajemniczości, który — jak w tym wypadku — zakrywa tylko rażące niewłaściwości postępowania Rady Wydziału.

Czymże kandydatka sobie zraziła czcigodnych profesorów? Przecież w lipcu dziekan, znający świetnie i przepisy i zwyczaj, którego własna małżonka chciała zdać egzamina u jego kolegów, przyjął podanie życzyliwie, a w październiku ten sam, zaawansowany na zastępcę rektora, zawzięcie sprzeciwił się doktoracji. Co więc zaszło? Kandydatka żadnego nie dawała powodu: ale maż jej naraził się Wielkorządcy uniwersyteckiemu. Dla swego bowiem kolegi, który od 30 lat wykładał filologię, wymyślił On w Wrocławiu katedrę religiofilologii, ale przybył wolał do reszty dni swych zostać filologiem. Nie wiedział biedak, że sprzeciwienie się Jemu jest zbrodnia, za którą należy się kara przykładowa. Do profesora trudno się zabrać — ale od czego jest jego żona? Z obiecaną więc asystenturą — uici, z doktoracją również — uici. Przecież Bogu dzięki uniwersytet ma samorząd, a ubrać wszystko w formę prawidłową i legalną to dzieki samorządowi fraszka. Zwłaszcza, że On teraz rzadzi. Władza jest dobrym winem, słodko upajającym, tak, że niedojnemu niedorozwinięciu uderza do głowy. Dziekan więc i Wydział tańczą tak, jak On im zagra za swoją orkiestrą zaufanych: bo jakoż by sie ośmielił być innego zdania wiszący jeszcze w powietrzu zastępca profesora lub żyjący z żłobu uniwersyteckiego za złeczone godziny lub blagajacy o asystenturę dla swego zakładu. Wszystkich w reku trzyma ten, co dysponuje żłobem uniwersyteckim i obrokiem. Tak więc Rada Wydziału została kandydatką na lodzie.

Ale kandydatka się uparla. Dodatkowo więc żądano pozwolenia Ministerstwa na zdawanie doktoratu z historii: Ministerstwo bez zwłoki pozwoleńie to nadało, wraz z dopiskiem, że egzamin może zdać na Wydziale Humanistycznym w Wrocławiu, położąc w ten sposób autorytatywnie (kres plotece o ograniczaniu praw żon profesorów. Wszystko więc już było: ocena pracy, skasowanie plotek, pozwolenie Ministerstwa. Myślicie, teraz już chyba będzie egzamin. Gdzie tam — na najbliższej Radzie Wydziału, korzystając z ciężkiej choroby promotora. On ze swoja orkiestra wystąpił z konceptem, roniącym nadzieje na zwłokę prawie że bezterminowa. „Rada Wydziału” (bez wiedzy chorego kolegi, któremu wyrządzono ten niezastępowy afront) uchwalila zażądać — pół roku po pierwszej ocenie — nowa ocena dysertacji doktorskiej od fachowego profesora w Krakowie, o którym wiadziło, że jest poważnie chory i poddać się ma operacji. Nadzieje te profesor krakowski rozwiał, gdyż mimo ciężkiej choroby w przeddzień operacji nadesłał wyczerpującą ocenę dysertacji, przychylniejsza może jeszcze od oceny wrocławskiej. Jakże więc nowe przeszkody można wymyśleć? Rada Wydziału wreszcie wybiera komisję — On kaze się wybrać do komisji jako egzaminator, mimo że naturalnie nie ma zamiaru dopuścić do egzaminu lub egzaminować — tylko po to, by tym pewnie stordedować egzamin. Od czego bo

wiem jest samorząd? Gwarantuje on profesorowi prawa, ale obowiązki — jeśli tak Jego wola — określa On sobie sam. Po wyborze komisji kandydatka robi zwyczajowo wizyty i nżadnia termin egzaminów. W sobotę jest też u Niego; proponuje On wpięć przedzień wyjazdu jednego z egzaminatorów na urlop kuracyjny, atoli daje się uprosić na najbliższą środę. Dziekan więc rozsyła zaproszenia na egzamin — we wtorek otrzymuje zwrot Jego zaproszenia z dopiskiem: „Nie mogę”. Dziekan udaje się do Niego; po długiej naradzie uzyskał Jego przyrzeczenie, że nowy termin egzaminu pada za kilka dni — oczywiście po wyjeździe drugiego egzaminatora. Chcąc wiedzieć, co właściwie na sprawie, udał się maż kandydatki w porze wyznaczonego egzaminu do Niego, odsiadującego normalnie swe godziny biurowe, prawie że wczelne. Zaraz na wstępie oświadczył On, że odesłał zaproszenie, bo nie będzie egzaminował, i że rezygnuje z udziału w komisji egzaminacyjnej. Na uwagę, że o tej decyzji powinien powiadomić dziekana na piśmie, przyrzekł to uczynić. Zapytany dlaczego w ogóle uzgodnił z kandydatką termin egzaminu, skoro nie zamierzał egzaminować, odpowiedział, że wszedł do komisji i ustalił termin egzaminu, ponieważ nie przypuszczał, że promotorowi choroba pozwoli egzaminować. Było to triumfalne odkrywanie kart. Tak, władza jest do brym winem. Powtórzywszy przyrzeczenie, że dziekana powiadomi na piśmie, pożegnał swego gościa. Ten niezwłocznie dziekanowi streszczył rozmowę i wskazał na to, że w razie odmowy filologów wrocławskich trzeba będzie zwrócić się do innych. Rzeczywiście uchylali się filolodzy od udziału w egzaminie, i uniwersytet utrzymujący 4 katedry filologii skazany był na innych, gdy chodzilo o egzaminowanie jednego kandydata. Nie chcąc trudzić profesorów na specjalne posiedzenie Rady Wydziału dla tej jednej sprawy, rozpisal dziekan kurandę: większość się zgodziła, orkiestra wstęczyła się. On jeden sprzeciwił się zaproszeniu obcego filologa. Prowadził więc rzeczywiście walkę bez pardonu, gdyż w myśl przepisów teraz sprawa stanęła na martwym punkcie: swoi nie chcą egzaminować, obcych On nie dopuszcza.

To jest więc komentarz do tekstu obecnego samorządu, komentarz przydług, ale pokazujący z całą jasnością samorząd, przetrwany w samowoli, samorząd, przekształcony w przyrząd znaczenia się nad młodzieżą. Mogliem wybrać inny przykład, bo powyższy wypadek jest ponoć nie jedyny. Wszystkie te potworności są formalnie w porządku, bo ubrane w uchwały komisji czy Rady Wydziału; kandydat, trzymany na uwięzi, kroczący od rozczarowania do rozczarowania, wynieszony materialnie i nerwowo przez takich profesorów. Smutne mi się nasuwaia refleksje. Pracowałem kilka lat w uniwersytecie sowieckim. Nie wydarzyło się, by choć w przybliżeniu coś podobnego się przytrafiło — nie wyobrażam sobie nawet żeby tam mogli być taki sabotaż przepisów i zasad etycznych. Natomiast byłem tam świadkiem prawdziwej troski, wprost pieczołowitości władz i profesorów szczególnie wobec nauki naukowej, który ponierano jak najwydatniej moralnie i materialnie. Wiem, że nie wszędzie jest tak jak we Wrocławiu, że mamy ośrodki, w których chcąc pracować znajdujemy wszelkie udogodnienia. Ale wiem też, że jeżeli mamy kroczyć znów naprzód, należy wprzód uniemożliwić stosowanie tortur wobec uczących się w imię samorządu.

Ryszard Ganszynie

Wybrała i przełożyła JOANNA GUZÓWNA

Z LISTÓW VINCENT'A VAN GOGHA

Zamieszczony poniżej listy Vincenta Van Gogha wyjęte są z tomu korespondencji, której nowe wydanie ukazało się niedawno w Pa. ryżu*).

Wybór zawiera listy z różnych epok życia Van Gogha pisane do brata, z którym łączyły go związki najściślejszej i najbardziej intymnej przyjaźni. Korespondencja z Theo trwała przez całe krótkie i tragiczne życie artysty; jej ciągłość, szeroki wachlarz poruszanych zagadnień, wypowiedź szczerą, nieobliczoną na efekt i nieoklecietyrzną, stanowią o wartości tego dokumentu, jedynego — obok malarskich dzieł Van Gogha — który pozwala na zapoznanie się z życiem, stylem myślenia i odczuwania tego wielkiego malarza.

Zamieszczony w tekście jedyny list do Gauguina, którego nazwisko wymieniane z największą czułością i troską tak często pojawia się w listach do brata, został napisany po katastrofie w Arles, pierwszym ataku obłądzenia, mającym później doprowadzić Van Gogha do samobójstwa; Gauguin, który mieszkał wówczas z Vincentem w jego pracowni w Arles, był świadkiem całego zajścia.

Nuenen (grudzień 1883 — listopad 1885).

Sądzę, że ten kto spróbował naprawdę zrozumieć mistrzów, odkryje ich w pewnych chwilach w głębi samej rzeczywistości. Chcąc przez to powiedzieć, że także w świecie rzeczywistym można zobaczyć to, co nazywa się dziełem, w miarę tego, jak nasze widzenie i odczuwanie do ich widzenia i odczuwania się upodabnia. Myślę także, że gdyby krytycy, czy znawcy byli w bardziej poufalszym stosunkach z przyrodą, wzrosłoby ich zdolność oca-

* Lettres de Vincent Van Gogh à son frère Théo, E. Grasset, Paris.

ZANNA KORMANOWA

PAMIĘCI WŁODZIMIERZA PICZETY

WCZESNĄ wiosną 1940 r. odbywała się na Białorusi wyjazdowa sesja Akademii Nauk ZSRR. Wśród wielu radzieckich uczonych uczestniczył w niej były rektor uniwersytetu mińskiego, członek Akademii Nauk, historyk Słowiańszczyzny, Włodzimierz Piczeta. Nazwisko to znane było każdemu polskiemu historykowi. Wiązało się ono z jednym z najcenniejszych doradczyców wydawnictw popularno - naukowych, z serią t. zw. „Uniwersytetu Ludowego” („Narodnyj Uniwersitet”), w którym jeden z kolejnych tomów, historia Rosji, o ile mnie pamięć nie myli, był autorstwa Piczety, młodego wówczas docenta uniwersytetu moskiewskiego, posłownca i demokracja. Nadto znałmy późniejsze gruntowne źródłowe studia Piczety z zakresu ustroju rolnego W. Ks. Litewskiego w wieku XIV-ym. Ale przysłać trzeba, że i wykład i udział w dyskusji prof. Piczety były dla nas, grupy młodych polskich historyków, niemałą niespodzianką — wyjątkowa erudycja, pojemna i giętką pamięć historyczną, znanstwo rzetelne i wielkie umiłowanie przedmiotu cechowały wszystkie jego wystąpienia, poświęcone historii Polski. — Przystępny i serdeczny w stosunkach prywatnych, jak się później niejednemu z nas przekonać zdołał, pozostawał Piczeta podczas tego pierwszego spotkania oficjalnym, uroczystym i sztywnym. Sprawiała to niewątpliwie nowość sytuacji i wzajemna egzotyckość środowiska. Wysoki i szczupły, o charakterystycznie wydłużonym jajowatym sklepieniu czaszki sztywnej w replice, o reakcji nerwowej i artysty, zostawił wrażenie inteligenta par excellence i w każdym calu wybitnego intelektualisty. Mówiliśmy o nim z uznaniem i szacunkiem, ale z pewną dozą nieufnej bojaźni.

Jakże gruntownie wypadło w następnych już latach zrewidować to pierwsze opaczne wrażenie. Losy wojny zetknęły mnie z prof. Piczetą w Moskwie w r. 1943.

Instytuty Akademii Nauk wracały właśnie do bezpiecznej już i pewnej niedalekiej przyszłości stolicy z dalekiego bezpiecznego tyłu, dokąd rząd radziecki ewakuował w r. 1941 wszystkich uczonych, młodzież studiującą i dobra kulturalne poszczególnych placówek naukowych. Uczonym z centrów wypadło zetknąć się bezpośrednio i poznać gruntownie naukowe możliwości republik środkowo - azjatyckich i zakaukaskich. — Powstały z tego zetknięcia płodne naukowo kontakty, pomysły i prace, jak naprz. piękne prace akademika Anny Pankratowej w Kazachskim oddziale Akademii Nauk. Uczelniali wracali ze skwapliwą gotowością do Moskwy, do swoich zasiedlonych gniazd rodzinnych, do swoich warsztatów pracy, do atmosfery, w której czuli się najlepiej i do której w okresie ewakuacji bardzo tęsknili. — Jeden z pierwszych wrócił z Azji Środkowej Instytut Historii Akademii Nauk ZSRR. A w jego składzie prof. Piczeta.

Innymi drogami wojennych losów i dla innych celów skupiać się zaczyna w tym samym czasie w Moskwie, wiosną i latem 1943 roku, grupa Polaków, przebywających w ZSRR. Kilku, następnie zaś rodzi się ZPP. W tym momencie przypadek zetknął mnie znów z prof. Piczetą.

Opracowane na potrzeby szkół dla dzieci polskich w ZSRR programy historii Polski, skierowane dla zaopiniowania o ich naukowej poprawności do najwybitniejszego radzieckiego fachowca w zakresie historii Polski, do prof. Piczety, sprawiły, że został nawiązany stały kontakt naukowy, zacieśniający się aż do chwili mego wyjazdu z Moskwy.

Bywałam w prywatnym mieszkaniu profesora, położonym w zacisznym zaułku tak ulubionym przez inteligencję radziecką moskiewskiego Arbatu. Trudno sobie wyobrazić bardziej wymowne, bardziej charakterystyczne home. Książki, jako motyw naczelny każdej tu sprawy. Wysokie aż pod sufit półki, pełne książek, — rzędy pionowo ustawionych grzbietów, szczerline poprzekadane poziomo pomiędzy rzędy wciśniętymi tomami; wielkie biurko uginające się pod samymi piśm i wydawnictw bieżących; fotele i krzesła, parapet okna, oparcie kanapy z balustradą, stoły, wreszcie wprost podoga — wszędzie książki i książki. Nięwiele tu było tomów nierozczytanych. Znakomicie przeważały czytane i wertowane wielokrotnie, opatrzone notatami marginesowymi, albo tylko doskonale w wyjątkowej pamięci gospodarza ulokowane. Wśród tej powodzi książek oko Polaka napotykało ogromny odsetek poloników. Kompletowane przez pół wieku z wyjątkowym znanstwem polonika historycznego profesora były prawdziwie radosną niespodzianką dla każdego polskiego przybysza. — Na tym gruntownym księgozbiore można było oprócz każdej uczciwej kompilacji, każdego bibliograficznego przeglądu, — zawierał bowiem wszystkie ważniejsze pozycje wydawnicze z przed 1914 r. i sporo czołowych z okresu dwudziestolecia międzywojennego. — Gdy się raz odkryło te oazy poloników, trudno było tu nie wracać.

Profesor pożyczal książki szczerze i łatwo, gdy tylko nabierał zaufania nietyłe do solidarności, ile do fachowości swego gościa. I teraz dopiero, w gawędzie, można było wejść w inną dziedzinę poloników w tym domu. — w historię anegdotyczną przebogactwa archiwalnego moskiewskich. Nikt nie znał tych pokładów historycznych preciozów tak, jak profesor Piczeta. Studiował je przez całe życie. U jego schyłku podjął syntetyczną pracę, — dwutomową, zwartą, bogatą w rewelacje archiwalne, zwłaszcza z zakresu naszej polityki zagranicznej, marksistowską w ujęciu, historię Polski, Tom pierwszy, przygotowany do druku, niewątpliwie ukaże się niezadługo. Tom drugi dobiegał w roku 1946 do powstania styczniowego.

Profesor nie uprawiał bibliofilstwa bez towarzyszy serdecznej. Przeciwnie. Fala polskich książek w jego bogatym księgozbiore była odpowiednikiem stałego zainteresowania, żywej sympatii dla wszystkich, co polskie i postępowe. Władal polszczyzną nie wolną od barbaryzmów, ale wyszukaną i bogatą. Z nieklamany sentymentem wspominał nasz kraj, zwłaszcza Warszawę i Kraków, który znał dokładnie. Cenił sobie wysoce zetknięcia osobiste z naszymi uczonymi, — parokrotnie szczegółowo odtwarzał jakąś dyskusję w gronie krakowskich uczonych w gościnnym domu Kutrzeby u schyłku dwudziestych lat bieżącego stulecia; opowiadał o

Handelsmanie, o Zakrzewskim, o historykach gospodarczych. Okazywało się w tych gawędach, jak świeżego znawcę miała Polska nauka historyczna w tym cichym gabinecie moskiewskim.

Trudno było sprawić większą przyjemność gospodarzowi jak przesyłając nowy tom polskiej historiografii, czy garść nowinek o pracach i losach polskich historyków. Z taką erudycją, z takim głębokim sentymentem dla spraw naszych, z takim statym dla Polski zainteresowaniem spotykałam się wśród cudzoziemców chyba tylko u Francuzów.

Profesor marzył o odwiedzeniu Warszawy, o spotkaniu z polskimi uczonymi w nowych warunkach polsko - radzieckiej współpracy i przyjaźni. Zaproszony przez wydział humanistyczny stołecznego uniwersytetu, przesuwał termin wyjazdu ze względu na pilne prace, w skrytości serca zaś — pragnął jechać do nas z gotową historią Polski. — Śmierć przekreśliła, niestety, te plany, — nie będziemy już gościć u siebie człowieka, który przez pół wieku z pasją wertował nasze dzieje, wgrzyzał się w naszą kulturę, ugruntowywał swój sentyment Słowianina o wiedzy, na trafnym wyuczaniu tych postępowych nurtów naszej historii, z których wyrasta dzień dzisiejszy Polski.

Piczeta, postępowy inteligent rosyjski z lat rewolucji 1905 r. należał do tych stosunkowo nielicznych, którzy opowiedzieli się odrazu po stronie zwycięskiej Rewolucji Październikowej. Historyczne prace doprowadziły profesora do zrozumienia i uznania marksizmu. Życie i praca w kręgu nauki radzieckiej związały go w sposób nieodwracalny z leninizmem, ze zwycięską teorią socjalistycznego państwa, socjalistycznego budownictwa. Gorący patriota radziecki, przekonany wyznawca materializmu historycznego, profesor Piczeta zachował w swych oczach wrażliwość na piękną formę, fantazję i polot artysty, młodzieńczy zapał i gorącość sądu.

Serdecznie kochany przez młodzież, zazwyczaj otoczony grunem uczniów, oddawał się całym sercem wychowaniu młodych kadry historycznych. Seminarium, którym kierował, uwzględniało ogromną ilość tematów polskich, — w ciągu rocznej współpracy przeznęło się ich za mej pamięci conajmniej osiem. Pamiętam wśród nich bogactwo i źródłowe studium o petersburskim okresie życia Jarosława Dąbrowskiego, prace o powstaniu listopadowym, studia nad Staszycem, analizę naszych kronik zwłaszcza Galia, prace nad bibliografią naszego kapitalizmu, — więc bardzo bogatą gamę zainteresowań.

Tę garść wspomnień nad świeżą mogiłą dobrego, pomocnego człowieka, wybitnego historyka, jednego z najświetniejszych historyków Słowiańszczyzny, pięknego przykładu zdobytego bez reszty dla marksizmu, dla socjalizmu erudyty i intelektualisty doradczycyńskiego typu, zamknąć wypada stwierdzeniem, że będziemy tu niecierpliwie wyczekiwać edycji „Historii Polski” profesora Piczety, żywego dowodu zainteresowania i sympatii postępu rosyjskiego, inteligencji radzieckiej dla sprawy polskiej, dla naszego narodu.

Zanna Kormanowa

czas drogi, nie czekając na mego gospodarza. Zrobitem szkic wspaniałego sadu jabłoni, który Liebermann namalował w swoim dużym obrazie. Potem wróciłem tą samą drogą, którą przyjechaliśmy rano.

Nuenen (grudzień 1883 — listopad 1885).

Dzisiejsi młodzi nie chcą słyszeć o mnie, doskonale, nie mnie to nie obchodzi; zarówno jako człowiekowi, tak i malarzowi, pokolenie z 48 roku droższe mi jest niż z 84-go, lecz przez rok 48 rozumiem nie Guizotów, lecz rewolucjonistów, Micheleta, a także malarzy chłopskich z Barbizonu.

Antwerpia (listopad 1885 — luty 1886).

Zyjemy w czwartej ćwierci wieku, który zakończy ogromna rewolucja.

Przypuścmy jednak, że ujrzymy jej początek u schyłku naszego życia; lecz napewno nie będziemy znali tych czasów najlepszych, kiedy po wielkich burzach powietrze staje się czyste i oddychać całe społeczeństwo.

Jedna rzecz jest przecież ważna: nie dać się wywieść w pole przez fałsz własnej epoki tak dalece, aby nie wskazywać na chorobliwą, duszną, przynębiającą atmosferę, która burzę poprzedza.

Że też się sobie nie mówi: żyjemy w okresie niepokoju, lecz pokolenia przyszłe będą mogły odetchnąć swobodnie.

Zola i Goncourtowie krzyczą o tym z prostotą wielkich dzieł, oni, ci analitycy najbardziej surowi, których diagnoza jest tak brutalna i tak precyzyjna zarazem.

Także praca tych, których wymienięs, Daudeta i Turgieniwa nie jest pozbawiona per-

ny; teraz mają tylko rutynę — naskutek obcowania z obrazami i umiejętność porównywania jednych do drugich. To samo w sobie jest świetne, lecz brak tu trwałych podsta, jeśli zapomina się o istnieniu przyrody i jeśli się w nią nie zagłębia.

Jeżeli kiedyś zrobisz coś pięknego, to nie naskutek tego, że pracować będę inaczej, niż teraz; chcę powiedzieć, że będzie to to samo jabłko, lecz bardziej dojrzałe; żadne jednak zmiany nie sądzę w tym, co myślęm od początku. I to jest przyczyna, dla której mówię o sobie: jeśli nie jestem nic wart teraz, nie będę więcej wart później, lecz jeśli będę coś wart później, to znaczy, że jestem coś wart teraz. Bo zboże jest zbożem, nawet jeśli mieszczuch bierze je za zielsko, i na odwrót.

W każdym razie, czy ludzie uważają za dobre, czy złe, to co robię, i jak to robię — ja ze swej strony nie widzę dla siebie innej drogi, jak walczyć z naturą tak otwarcie, aż powierzy mi swoje tajemnice.

Pracuję ciągle nad rozmaitymi studiami głów i rąk.

Drenthe (wrzesień — listopad 1888).

Chciałbym opowiedzieć ci trochę o przejażdżce do Zweloo, miasteczka, gdzie długo mieszkał Liebermann i gdzie robił szkice do swego obrazu z ostatniego Salonu, tego z praczkami.

„Wyobraź sobie jazdę poprzez wrzosowiska o trzeciej nad ranem, otwartym wózkim (towarzyszyłem memu poczciwemu gospodarzowi; jechał na targ do Assen), drogą — „diek”, jak się tutaj mówi — którą, aby wyrównać, zarzucono mułem zamiast piaskiem. Było to jeszcze zabawniejsze, niż w łódce. Kiedy zaczęło się trochę rozjaśniać i rozległo się pianie kogutów dokoła chat rozrzuconych wśród wrzosów: kilka małych domków, obok

których przejeżdżaliśmy otoczonych nagimi topolami (słychać było jak spadają małe żółte liście); — zniszczona stara wieża na nie, wielkim cmentarzu zakończonym groblą i polami ziób; — wszystko, wszystko staowało się najdokładniej podobne do najpiękniejszych Corotów. Cisza, tajemniczość, spokój — tak jak tylko on to malował.

Była jeszcze noc, gdy przyjechaliśmy do Zweloo, o szóstej nad ranem; widziałem prawdziwe Coroty; jeszcze później, o świtanu.

Nasz wjazd do miasteczka był właśnie tak piękny. Ogromne, omszone dachy domów, stajen, obóz stodoł.

Zabudowania między dębami o wspaniałym brzoście, są tu bardzo wielkie. Mchy o tonach złoto - zielonych, ton ciemny, lila - szary, wpadający w czerwoną, niebieski czy żółty — na ziemi, tony o niewypowiedzianej czystości w zieleni matych pól zbożowych, na wilgotnych pniach tony czarnym kontrastujące ze złotym deszczem liści jesiennych, wirujących i spalonych, które jak stare peruki, kiedy się na nie dmuchnie, opadają na gałęzie topól, brzoź, lip i jabłoni, trochę poplątanych i pozwalających przemknąć tylko światłu nieba.

Niebo bez jednej chmurki, jasne, lecz nie białe; złożona liliowość, biel, w której widzi się przebiegające odcienie czerwone, niebieskie i żółte, niebo odbijające wszystko, które oduje się wszędzie ponad sobą, przymglone i zlewające się z lekką mgłą poniżej.

Wszystko rozkłada się w świetnej szarej gamie. Tym niemniej nie znalazłem w Zweloo ani jednego malarza; ludzie powiedzieli mi zresztą, że nikt nie przyjeżdża tu w zimie.

Mam nadzieję, że będę tu właśnie na przyszłą zimą. Ponieważ nie było malarzy, postanowiłem wrócić pieszo i rysować trochę pod-

spektyw; umieją spojrzeć na zjawiska z drugiej strony.

„Widzisz, to dodaje otuchy, kiedy się pomyśli, że nie jest się samotnym w swych uczuciach i myślach, że współpracuje się i idzie z grupą.

Dzięki temu człowiek zdolny jest do zrobienia więcej dobrego i nieskończenie bardziej szczęśliwy...

Arles, 5 maja 1888.

„Byłbym bardzo rad, gdyby w malarstwie pojawił się człowiek w rodzaju Guy de Maupassanta, któryby wesoło i pogodnie malował pięknych ludzi i rzeczy tutejsze. Jeśli idzie o mnie — będę pracował; tu i ówdzie zostanie coś z mojej pracy; lecz któż będzie tym w portrecie czym Claude Monet jest w pejzażu? Mimo to, powinienesz czuć tak samo jak ja, że rzecz wisł w powietrzu. Rodin? To nie on, nie posługuje się kolorem, zaś malarz przyszłości, to kolorysta, jakiego nie było. Manet to przygotował, lecz ty wiesz dobrze, że kolor impresjonistów jest czymś więcej, niż kolor Maneta. Nie mogę sobie jednak wyobrazić, że ten malarz przyszłości spędza czas w restauracjach, pracując mając wiele sztucznych zębów, czy chodzi do bordeli żuawów, jak ja.

Wydaje mi się jednak, że mam słuszną myśl, iż zjawł się on w pokoleniu bardziej odległym; nam nie pozostaje nic więcej, jak robić w tym kierunku wszystko, na co nam nasze możliwości pozwalają, bez zwątpień i wahań.

Przeczytałem raz jeszcze *Au bonheur des dames* Zola; ta książka wydaje mi się coraz bardziej piękna.

Arles, maj 1888.

Zobaczysz piękne rzeczy u Claude Moneta i uznasz za bardzo złe to co posyłam, jeśli porównasz. Jestem teraz nierad z siebie i z tego co robię, lecz przypuszczam, że lepiej będę pracował w przyszłości.

I zresztą mam nadzieję, że później inni artyści zjawiają się w tym pięknym kraju, aby zrobić tu to, co Japończycy zrobili u siebie.

Pracować w imię tego nie jest już takie ciężkie...

Arles, początek sierpnia 1888.

„Obawiam się, że nie będę miał tej pięknej modelki; obiecała pozować, potem — jak się okazało — zarobiła pieniądze wiadomym sposobem; lepsze zajęcia.

Była nadzwyczajna, spojrzenie jak z Delacroix i układ postaci dziwny, prymitywny. Jestem cierpliwy, nie widzę bowiem innych sposobów, aby przetrzymać to wszystko, ale drażnią mnie te wieczne kłopoty z modelkami. Gdybym malował gładko, jak Bouguereau, ludzie nie wstydziliby się pozować; lecz to co namalowałem uważa się za „złe zrobione“ (są to obrazy pełne malarstwa) i w ten sposób tracę modele. A więc dobre k... obawiają się kompromitacji i tego, że ludzie będą sobie kpić z ich portretów. Zniechęca mnie to prawie, ponieważ czuję ile mógłbym zrobić, gdyby inni mieli więcej dobrej woli.

„Jeśli będąc młodszym sądziłem, że przez ciągłą pracę mógłbym podjąć swym obowiązkom, to teraz staje się to coraz bardziej wątpliwe. Napisałem znów Gauguinowi w ostatnim liście, że gdyby malował jak Bouguereau mógłby się spodziewać zarobków; lecz publiczność nie zmieni się nigdy i nie przestanie lubić rzeczy słodkich i gładkich. Człowiek o talencie bardziej serio nie powinien liczyć na korzyści ze swej pracy; większość ludzi dość inteligentnych, aby rozumieć i kochać obrazy impresjonistów, jest i pozostanie zbyt uboga, aby je kupować. Czy to znaczy, że Gauguin i ja będziemy mniej pracować z tego powodu — nie — lecz będziemy musieli się zgodzić na ubóstwo i izolację, którą narzuca nam społeczeństwo. Na początek urządzimy się tutaj, gdzie życie kosztuje mniej. Tym lepiej, jeśli przyjdzie powodzenie, tym lepiej, jeśli pewnego dnia odetchniemy szerzej.

„A więc Gauguin i ja musimy to wszystko przewidzieć; powinniśmy pracować mając dach nad głową, łóżka, wszystko niezbędne, aby przetrzymać ciągle niepowodzenie, które trwać będzie przez całe nasze życie, powinniśmy się ustalić w warunkach najmniej kosztownych. W ten sposób zyskamy spokój, który jest niezbędny, aby tworzyć dużo, na wet jeśli sprzedawać będziemy mało, lub wcale...
 „Sądzę, że Gauguin nigdy nie wycofa się z walki paryskiej, zbyt ma to na sercu i bardziej niż ja wierzy w trwałe sukcesy. To mi nie sprawia przykrości, przeciwnie, może za dużo traci nadzieję. Zostawmy mu więc to złudzenie, lecz wiemy, że trzeba mu będzie zawsze mieszkania, chleba i farb.

„Gdybym miał takie same ambicje jak on, nie zgodziłbyśmy się prawdopodobnie nigdy. Lecz nie zależy mi ani na powodzeniu, ani w własnym szczęściu; zależy mi na trwałości odważnego dzieła impresjonistów, chodzi mi o azył i chleb codzienny dla nich. I uważam to sobie za zbrodnię, jeśli mam jedno i drugie, kiedy za tę samą sumę, którą wydają, dwóch mogłoby żyć.

„Zacząłem podpisywać płótna, lecz zaprzestałem rychło; wydało mi się to zbyt głupie. Na jednym pejzażu morskim znajduje się ogromny podpis czerwony, ale chciałem czerwonego akcentu, w zieleni. Zobaczysz te obrazy wkrótce. Zbliża się koniec tygodnia, mam więc nadzieję, że otrzymam twój list raczej wcześniej, niż później.



Van Gogh

Autoportret



Van Gogh

Nocny lokal w Arles



Van Gogh

Pokój sypialny artysty w Arles październik 1888 r.

Arles, październik 1888.

Posyłam Ci nareszcie mały szkic, aby dać Ci przynajmniej pojęcie o tym, jaki obrót wzięła moja praca, ile że dziś odzyskałem w niej znów równowagę. Mam jeszcze zmęczone oczy, lecz w końcu przyszedł mi do głowy pomysł i oto szkic. Ciągłe płótno 30". Tym razem jest to po prostu mój pokój sypialny; tylko kolor powinien odgrywać tu rolę i nadając przez swą prostotę większy styl przedmiotom, być sugestią odpoczynku, czy snu w ogóle. Wierzę, widok obrazu powinien wywoływać odpoczynek w umyśle, lub raczej w wyobraźni.

Słony są bładofioletowe. Podłoga z czerwonych tafl.

Drzewo łóżka i krzesel jest żółte, koloru świeżego masła, prześcieradło i poduszki barwy cytrynowej zieleni, bardzo jasnej.

Nakrycie łóżka szkarłatno-czerwone. Okno zielone.

Stółk toaletowy pomarańczowy, miednica niebieska. Drzwi lila.

I to jest wszystko — nic więcej w tym pokoju o zamkniętych okiennicach.

Szerokość mebli powinna znów wyrażać odpoczynek niezachwiany. Portrety na ścianach, lustro, ręcznik i kółka ubrań.

Rama — ile że nie ma bieli w obrazie — będzie biała.

To jako nagroda za odpoczynek wbrew woli, do którego zostałem zmuszony.

Arles, grudzień, 1888.

Mój drogi przyjacielu Gauguin.

Korzystam z mojego pierwszego wyjścia ze szpitala, aby napisać panu kilka słów pełnych przyjaźni serdecznej i głębokiej. Myślałem o panu wiele w szpitalu, nawet podczas dużej gorączki i wywołanego nią osłabienia.

Zechceć mi pan powiedzieć, czy podróż mojego brata Theo była konieczna, mój przyjacielu?

Teraz przynajmniej niechaj go pan uspokoi zupełnie i sam przestanie się martwić; uwierz pan proszę, że w sumie żadne zło nie istnieje na tym najlepszym ze światów, gdzie wszystko idzie zawsze ku lepszemu.

Pragnę, aby pan powiedział w moim imieniu miłe słowa dobremu Schuffeneckerowi; żeby pan powstrzymał się, aż do najbardziej dojrzałego, wszechstronnego namysłu od mówienia źle o naszym małym, biednym, złotym domku; żebyś pozdrowił ode mnie malarzy, których widziałem w Paryżu. Życzę panu powodzenia w Paryżu i ściskam dłoń.

Twój,

Vincent.

Arles, 24 marca 1889.

Mój drogi Theo,

„Czy możesz mi wysłać przed twoim wyjazdem:

3 tuby tejże wielkości kobaltu,
 1 tubę tejże wielkości ultramarynu,
 1 tubę tejże wielkości zieleni veronese,
 1 tubę tejże wielkości zieleni szmaragdowej,
 1 tubę tejże wielkości mini pomarańczowej.

To na wypadek — problematyczny, gdybym znalazł sposób, aby wziąć się na nowo do pracy; na razie zaczynam trochę malować w sadach. Ach, oby mi nic nie przeszkodziło!

Zastanówmy się dobrze, zanim zaczniemy szukać innego wyjścia. Widzisz sam, że na południu nie mam więcej możliwości, niż na północy. Wszędzie jest potrzebne to samo.

Myślę się więc szczerze zgodzić na mój zawód szalenca, tak jak Degas obrał sobie zawód notariusza. Ale nie czuję zupełnie siły potrzebnej do tej roli.

Mówisz mi o tem, co nazywasz „prawdziwym południem“. Oto masz powód, dla którego nie udam się tam nigdy. Zostawiam to jako odpowiedź dla ludzi bardziej pełnych, bardziej doskonałych niż ja. Ja nadaję się tylko do czegoś pośredniego i drugiego rzędu, mniejszej wartości.

„Ach, chciałbym Ci powiedzieć o pewnej rzeczy, o której bardzo często myślałem. Zupełnie przypadkiem, w artykule ze starego dziennika, znalazłem słowa wypisane na starożytnym grobie w tutejszej okolicy, w Carpentras.

Oto to epitafium bardzo, bardzo, bardzo stare, z czasów, przypuszczam, Salambo Flauberta.

„Thebe, córka Theuliusza, kapłana Ozirisa, która się nie skarżyła nigdy nikomu“.

Jeśli zobaczysz Gauguina, opowiedz mu o tym.

„Teraz mówisz mi o „prawdziwym południu“, ja zaś powiedziałem, że jak sądzę, udać się tam powinni ludzie bardziej niż ja pełni. „Prawdziwe południe“, czy to nie tam trochę, gdzie znajduje się rozsądek, cierpliwość i spokój wystarczający, aby stać się jak ta dobra „Thebe córka Theuliusza, kapłanka Ozirisa, która się nie skarżyła nigdy nikomu“.

Gdy o tym myślę, czuję się tylko bardzo niewdzięcznym człowiekiem.

Tobie i twojej żonie z okazji twego małżeństwa życzę szczęścia i spokoju płynącego z posiadania tego prawdziwego południa w duszy, którego pragnę dla was obojga.

Twój,

Vincent.

EUGENIUSZ CĘKALSKI

OPOWIADANIE EIGERA

New York, lato 1944 r.

KTO POWIEDZIAŁ, że w New Yorku nie ma chmur — sam to zdaje się zauważyłem kiedyś, ale moje doświadczenie jest tylko paromiesięczne. Tęgo wieczoru nad Hudsonem zapadły się złote i czerwone firanki na tle liliowych i czarnych kopuł zachodniego nieba. Konkurencja dla Broadwayu, po którym szliśmy. Na Broadwayu kręciły się już i mi gotały żółto-czerwone neony, a „Varga girl“ wspaniała czteromotorową nogą kapała się w blaskach zapalającej się ulicy. Szły dziewczyny i żołnierze — tysiące dziewczyn i stu żołnierzy bo kraj, w którym na ulicy idzie tysiące żołnierzy na sto dziewczyn daleko za mną, za morzem. Idzie koło mnie Eiger, muzyk z Europy, skończyliśmy wspólną robotę, mamy zjeść kolację razem. Eiger się pyta — jak długo Pan do Ameryki jechał, bo ja dwa lata. Mówię — ja się rok wybierałem, trzeba było wize odnawiać. Tak, mówi Eiger, ale ja dwa lata, dokładnie, od chwili zanim na okręt wsiadłem w Marsylii — do chwili kiedyśmy z żoną wenezueli na ziemi amerykańskiej zeszedł. Od stycznia 1941 do stycznia 1943 r. Musi mi pan to dokładnie opowiedzieć — mówię — (baw mi bardzo słuchać co ludzie w tej wojnie przeżyli. Wczoraj pan Węglański w samochodzie pana de Matanii i w drodze od Catskill do White Plains wszystko dokładnie o Lipie pod Rozwadowem — aż do Wina opowiadał i było ciekawe, więc na dziś inne opowiadanie, Eiger muzyk i wrażliwy zobaczmy co będzie).

Siedzimy więc sobie w Carnegie Hall Tavern na 57-jej ulicy, zamawiamy May Wine, szyncele cielece i Eiger gada.

Opowiedzieć dwa lata w pół godziny nie łatwo, a historia to taka, że najbardziej fantastyczne rzeczy niech się schowają — bo ja proszę pana takie rzeczy, widziałem, jak ludzie do wody skakali z rozpazcy i umierali i rozdzili się wszystko na statku przez długie miesiące. Za dużo nas tam ważnych politycznych „refudziantów“ było jak np. prezydent Hiszpanii i przez to nas nigdzie nie chcieli. Zaczęło się tak — z Paryża tak-sówa w ostatniej chwili zwołaliśmy jak Niemcy wchodzili, a że na filmie antyniemieckim „Les affaires de Schickelgruber“ moje nazwisko jak wół stało — nie było co na nich czekać. Do Marsylii. I tam nawet jeszcze trochę roboty było przez zimę 1940, ale się już gestapo zaczynało kręcić, więc jak na bulwarach wielkim afiszem ogłosili, że statek „L'Atlante“ idzie do pld. Ameryki i kto ma wize jednej z republik może jechać, tośmy po stanowili się wybrać, bo niewiadomo było co będzie. No i jak się okazało ktoś na tym z towarzystwa transportowego w porozumieniu z Vichy rzadem chciał zarobić bo grube dziesiątki tysięcy franków to kosztowało, ale że jeden konsul brazylijski wize dawał, więc żeśmy się zgłosili, pieczęcie przystawili, trochę jeszcze pieniędzy miałem i na statek. Statek — to był transportowiec — mięso z Argentyny woził, pół statku lodówki, drugie pół na sypaninie prowizorycznie przerobili, parę tylko kabin dla bogatych. My na przyręczach pod pokładem, razem 600 osób, głównie aliancy różni, refudzianty, Czesi, Belgowie, Polacy, Jugosłowianie. Jedziemy, dobija kapitan do Dakaru. Dakar dziura okropna, woda gorąca się oddycha nie powietrzem, stajemy, zejść na ląd nie dają, trwa to pięć, sześć dni, czujemy, że coś niedobrze. Raz po raz kapitan obiecuje, że już jedziemy — rzeczywistość rusza, wokoło port objeżdża, wraca na miejsce, stoi. Człowiek zaczyna wariować, duszno, zar, ten i ów już choruje. Znowu — że już jedziemy, radość, maszyny ruszają, parę godzin w kółko — znowu stonimy za portem na kotwicy. Na ląd nie dają zejść. Bo na lądzie gestapo i tłumacza nam. że by nas wylapali. Zaczyna się psuć jedzenie. Ludzie zaczynają chorować. Trwa to miesiąc, dwa. — Śpiączka. Cały dzień człowiek prawie śpi, budzi się w żarze i gorączce, świadomość ledwie majaczy i śpi się znów. Raz po raz ludzie umierają. Doktor był, Francuz, stara świnią, sam chorował, nie chciał nawet do chorych chodzić. Albo przyszedł, spojrzal, jak chory źle to nie chciał gadać, niech umiera, lekarstw dla takich trzeba, co się dadzą odratować. Raz po raz ktoś do morza wrzucają, pogrzeb. Dlaczego nie odjeżdżamy, kto to wie? 3 miesiące, 4 miesiące, pięć. Ludzie odchodzą od zmysłów, kapitan nie nie mówi, pewnie nie długo pojedziemy. Raz po raz rusza, żeby maszyny nie zardzewiały, jedzie w kółko, staje. Raz po raz ktoś z chorych zrywa się z krzykiem, pejdzi do burty, skacze, ani go kto ratuje, jest nas coraz mniej. Owszem na ląd czasem można jechać jak kogo doktor wyśle. Ale benzyny niema, więc po tych co mają przepustki łódź murzyńska przybija — morzem po fali na takiej skorupie trzeba się tuć do szpitala — można oszaleć. W Dakarze Niemców jak psów, więc jedziemy czy nie do tej Ameryki. Ktoś mówi, że nie pojedziemy, bo na statku naszym Niemcy pełno szpiegów naphali i Anglicy obiecali statek zaraz — choć to Vichy — storpędować. 6-ty miesiąc. 7-ty miesiąc, 8-ty miesiąc nic. Z 600 ludzi zostało 500, same cienie, jedzenie źle, choroby wszyscy, samobójstwa i śmierć raz po raz. Wreszcie wzywa nas kapitan jednego dnia i powiada — zdecydowane, statek nie idzie do Brazylii, wracamy do Francji. Wiemy, że we Francji gestapo — rozpacz straszna, wysła-

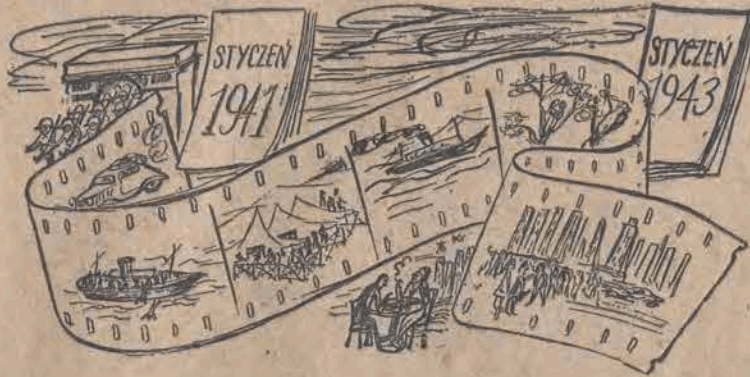
my do kapitana delegację — powiadamy jeżeli do Francji z powrotem to my wszyscy flu nas jest skaczemy do morza, będzie skandal, Kapitan się poskrobał, powiada dobrze, postaram się, może was w Casablanke wysadzą, ale nie nie gwarantuję. Tam was zresztą też do obozu zamkną. Następnego dnia statek rusza. Sprawdzają nas rano — 68 brak. Co się stało? Przekupili murzynów, w nocy skoczyli do morza, murzyni ich zawieźli na ląd, szli parę dni i noc dzungla, dostali się do portugalskiej kolonii Angola. Jak się kapitan o tym dowiedział, kazał nam wszystkim zejść pod pokład, niby na sprawdzenie papierów. Na dnie okrętu przy beczkach i lodówkach postawili stolik, ustawili w ogonek, ale potem się okazało, że drzwi zamknęli, dziesięć godzin nas trzymali dopóki statek nie ruszył. Bali się, że będziemy do wody skakać.

Jedziemy następnego dnia i rzeczywiście nas w Casablanke wysadzają. Ale zaraz na ciężarówkę i do obozów. Namioty w pustyni, 20 mil za miastem. W namiotach skorpiony. Taki skorpion niech tylko draśnie, pięć minut i śmierć. Ludzie budują sobie z kamieni i desek podwyższenia żeby skorpiony w nocy nie dopuścić. Karmią nas wstrętą lura i daktylami — jak wielbłądy. Kto jeszcze ma biżuterię czy co, Arabów przekupuje, przynoszą jedzenie z wioski. Po dwu tygodniach młodszy i starszy więcej w nocy do miasta i tam próbują interwencji posłów, konsulów, co się da. Wreszcie po dwu miesiącach generał Nogues lituje się, część nas za przepustką puszcza na Casablanke, Niemców tam pełno, pieniędzy już nie ma, ale są jeszcze przyjaciele — po prywatnych domach dajemy z żoną koncerty, zbieramy trochę pieniędzy w strachu, że nas lada dzień znowu zamkną. Ktoś zyczliwy odkrył, że jest z Hiszpanią z Kadysku statek do Brazylii, nasze wize ważne, więc żeby się tylko do Hiszpanii dostać. Zbiera się nas 170 osób, Arabów wynajmujemy, łódkami po nocach, brzegiem od wioski do wioski dostajemy się do Tangieru. Z Tangieru jakoś idzie przez Gibraltarcze do Hiszpanii. Anglicy mają zaufanie, że my „friendly aliens“ *) i przez sam port koło wojennych okrętów nas przewożą. Jesteśmy znowu w Europie po roku ale niby teraz już w drodze do Brazylii. Ładujemy się na Hiszpanię — tam już nas jak bydło na dnie okrętu masą zwalili, chorzy jesteśmy i słabi, jeść dają źle, ale wielkie szczęście bo w końcu jedziemy. Że i ciężko ale się po paru dniach Rio pokazuje, cud świata, port, radość, wysiadamy. Statek do brzegu przywiązały i coga dzień ne bo tragarzy nie ma i mostku nie spuszcza. Przerazenie znowu i po godzinie wzięli na okręt komisarz i trzech żandarmów i łamaną francuszczyzną pasażerom oświadczają, że wize są nieważne i ładować nie można. Ludzie placzą, kobiety mdleją. Statek idzie do Argentyny, może przyjść, Kapitan Hiszpan, cholera, okazuje się wiedział już na morzu, że Brazylii wize uniważniają, a nie powiedział, bo się bał rebelii. Więc jeszcze ta mała nadzieja Argentyna, a nie to do Europy i gestapo.

Jedziemy brzegiem całej Brazylii, Santos, inne porty. Wreszcie Argentyna, Buenos Aires, posłowie na statek przychodzą, tłumacza, że w naszej sprawie interweniowali w Londynie, że czekają na wiadomość, że zobaczymy. Następnego dnia radość, ładujemy. Rzeczywiście schodzimy na amerykańską ziemię, ale za portem ukryte karetki, mężczyźni kajdanami skuwają, kobiety osobno do karetek i do więzienia. Zwyczajny kryminał, więzienie dla pijanych marynarzy i prostytutek.

Już wtedy widzieliśmy co to za rząd i kraj — Argentyna. Trzymają nas jak złodziei w kryminale trzy tygodnie — aż nagle wołają, nie ma rezultatów interwencji w Londynie, statek wasz, Hiszpan, odchodzi, wracać do Europy. Więc znów na pokład i jak by było na legowisku na dnie okrętu i jedziemy. Teraz już chyba na pewną śmierć — do gestapo. Przystanek był jeden po drodze, wyspa holenderska Curaçao, koniec świata, niby to liktery a naprawdę febra i tropiki, zaduch, nędra. Tam nagłe holenderski oficer gramolił się na statek i czyta, że królowa jejmość Wilhelmina postanowiła łaskawie zlitować się i uciekinierów z alianckich krajów przyjmując na Curaçao. Ludzie placzą ze szczęścia i na ląd.

*) Przyjazni cudzoziemcy.



Ale to nie takie proste. Rozdzicają mężczyzn i kobiety i do baraków. Żeby „check up“ **). „Check up“ trwa sześć miesięcy i kraj straszny, ani kroku się ruszyć, czarni żołnierze pilnują i, kryminał taki sam jak wszędzie. Holendrzy na Curaçao co tam o piętej kolumnie słyszeli więc nas w ten sposób jako podejrzaną osobę badali. Choroby się znowu zaczęły inne, skóra puchła, pęcherze, wrzody. Mężczyźni, którzy młodszy i zdrowsi od żon oddzieleni nie mogli wytrzymać, obóz kobiet z okien widać, jak mały się przez okna nawoływali. Posła delegacją do komendanta, żeby małżeństwom dać możliwość się spotkać choć czasem. Holendrzy straszne dewoty, ale się zgodzili, że raz na dwa tygodnie pary małżeńskie mogą razem iść na wycieczkę do lasu na półtorę godziny. Wsadzili pary małżeńskie na ciężarówkę, wzięli przez miasto, ludność cała wiedziała co jest i śmiały się na ulicach i biegli za wozem — ohyda. Przyjeżdżamy do lasu — a tam ani trawy, ani się połóż, kaktusy i igły na nich ostre i długie jak palce. Francuzi jak mały wzięli na drzewa i tak to załatwiali. A straż stała obok cały czas. A o 6.30 trąbka, tru-tu-tu — zegnął się z żoną i na ciężarówkę, a łobuzy się w miejsce śmieją. A niektórzy to znowu jak się pogrzeb jakiejś starszuszki zdarzył — to nad grobem udawali że mdleją, pozwolenia prośli iść do ustępu, szli tam z żonami i tak to sobie załatwiali.

Po paru miesiącach raz oficer do obozu przychodzi i powiada głośno — Doktor Sedlaczek, jest tu doktor Sedlaczek. Jest rzeczywistość, refudziant czeski. Jest dla pana wiza do Ameryki. Sedlaczek mdleje z wrażenia.

***) Sprawdzić.

Eugeniusz Cękałski

PRZEGLĄD PRASY

Odczytując w trzecią rocznicę odzyskania niepodległości Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, znalazłem w nim punkt odnoszący się do spraw kultury i sztuki. W punkcie tym złożono artystom i pisarzom obietnicę, że ich trudna i potrzebna praca będzie otoczona należyta opieką. Słowo „opieką“ w tekście Manifestu nie oznacza wyłącznie opieki moralnej. Sztuka i kultura oprócz szacunku wymaga, jak każda dziedzina życia społecznego, odpowiedniego budżetu. Otóż budżet ten jest niestety bardzo znikomym, a malarz, muzyk czy pisarz nie może stwierdzić, tak jakby niewątpliwie tego pragnął, że wspomniany przeze mnie powyższy punkt Manifestu został całkowicie urzeczywistniony. Nie znaczy to bynajmniej, że sytuacja pisarzy w Polsce powojennej nie polepszyła się w stosunku do okresu przedwojennego. Pisarz może zarobić — na utrzymanie. Wystarczy jeśli spełni jeden, dość paradoksalny warunek. Nie będzie pisał na przykład długiej powieści, do której konieczny jest dłuższy okres przygotowań, podróży czy studiów, lecz zajmie się pisaniem reportaży do „Przekroju“; jeśli co dzień jeszcze popłaca w zawodzie literackim, to twórczość satyryczna. W zbiorowej umowie zawartej pomiędzy Radiem i ZZLP utwory satyryczne opłacane są o 50 proc. wyżej. Świadczy to o premiovaniu, i to nie tylko przez Polskie Radio, pracy literackiej potrzebnej/aktualnej.

Pisarze polscy nie uchylali się nigdy w okresie trudnego dwulecia od obowiązków, jakie na nich nakładala sytuacja polityczna kraju. Podobnie jak w Czechosłowacji, tak samo i u nas, pisarze są obecni zawsze tam, gdzie rozstrzygają się sprawy zasadnicze dla dalszego rozwoju narodu i jego kultury zarówno duchowej jak i materialnej. Świadczy o tym udział przytlaczającej większości pisarzy w wielkich akcjach oświatowania społeczeństwa nowych dróg rozwoju naszego kraju — pisarzy nie brak było ani w armii w okresie wojny, ani w pokojowej już pracy.

To też należy stwierdzić, że próbie społecznej wytrzymał pisarz polski doskonale, zgodnie zresztą z tradycjami, którymi literatura polska może się pochwalić.

W chwili jednak gdy pisarz zamierza zgodzić ze swoim właściwym powołaniem zasiąść na rok za biurkiem, by napisać wreszcie

Parę dni potem znowu ktoś, znowu jeszcze inni po tygodniu, aż wreszcie Eiger, Władysław, A w żony baraku — Eiger Alina. Jest wiza emigracyjna do Ameryki. Nie wierzę, płacz, krzyk, śmieję się. Ale tu nagle czarni żołnierze przychodzą, biorą mnie i prowadzą pod bagnety. Przyprowadzają też żonę. Bagnety przystawiają do pleców, prowadzą ulicami — pięta kolumna idzie, więc łobuzy nas gonią. Idziemy do amerykańskiego konsula, tam mnie i żonę kolbami wypychają przez drzwi.

W środku konsul amerykański, elegancki i miły pan powiada — jest dla nas „affidavit“ z Ameryki i wielkie arkusze drobno zapisane rozkłada. Zna pan Jakuba Olejnika z Chicago. Nie znam, mówię. Ma Pan rodzinę w New Yorku? Nie wiem, może jest wuj, mówię. Zna Pan Williama Mc Lee? Nie znam. A Izaaka Rosenstadta? Nie znam. Bo to pańscy gwaranci, powiada, affidavit pod, pisali, jest dla was bilet na Clipper do Wenezueli i Miami, za tydzień odjazd. Nic nie rozumiem. Kto nas ratuje, kto za nas płaci. Powiadają, że może mnie znać, bo w Polsce i Francji byłem dość znany, muzyka, koncerty. Zgadza się, powiada konsul, bierzcie bilety, macie być na lotnisku za tydzień. Clipper, Ameryka, affidavit, bilety — wprost z nędzy, choroby, baraków, spódnie na tyłku łatanie, jakże tak jechać, kto nas uratował, skąd to?

Zarobiliśmy na wyjazd żebraną. Poszliśmy z żoną grać i śpiewać na miasto. Ludzie rzucali grosze, zebrało się na nowe ubranie, na taksówkę na lotnisko. Poszedł clipper do Wenezueli, drugi do Miami w nim same miliony z Południowej Ameryki. W Miami kupony na hotel dają, w hotelu luksus, lokale chodzą po trzech kółko każdego z nas, pytają co jeszcze trzeba.

Kto są ci nasi sponsorzy, kto nas ratuje? Więc z Miami wałę do Chicago żeby znaleźć Jakuba Olejnika. Emigracyjni urzędnicy pytają nas gdzie i kiedy jedziemy, widocznie Olejnika zawiadomili, widocznie też te fotografie co na Curaçao robili to było nie dla policji do Ameryki, żeby nas „check up“ — bo jak o siódmej rano w Chicago wysiadamy — poznaje nas jakiś pan z waskiem i wołając Iger, Iger, przeskacza się i zaczyna mnie całować. To mój „sponsor“, dał affidavit, wyratował. Wiecie nas do swego zegarmistrzowskiego zakładu, Polak amerykański, zrobił to dla polskiego konsulatku i dla jakiejś tam „Refugee association“ i tak nas uratował.

Kończy Eiger swoją historię, kolacja się skończyła, idziemy znowu ulicą ku Central Park, niebo już ciemne.

książki, okazuje się, że uczynić tego nie może. Piękna sztuka pisania która wymaga długich namysłów, skupienia, a może i kilkumiesięcznego wyjazdu, okazuje się w Polsce luksusem, na jaki może sobie pozwolić zaledwie kilkunastu szczęśliwców. Naogół warunki literackiej pracy pisarza są trudne.

Pisano o tym już wiele i dlatego pozwolić sobie ograniczyć dalsze wywody na ten temat, kierując zainteresowanych do źródeł dyskusji o warunkach pracy pisarza polskiego: poszczególne głosy znaleźć można w śląskiej „Odrze“, (są one najbardziej tragiczne, co w związku z akcją polonizacyjną przeprowadzaną na ziemiach zachodnich ma swoją przykrą wymowę), w „Odrodzeniu“, w „Dziś i Jutro“, w „Tygodniku Warszawskim“, w „Nowinach Literackich“ etc. Jak widać, cała polska prasa literacko-społeczna, bez względu na kierunek polityczny jaki reprezentuje, uważa zagadnienie warunków pracy pisarza polskiego za doniosłe i uważa zdaniem moim słusznie; trudno sobie wyobrazić, by udało się nam kontynuować dobre tradycje naszej literatury, jeśli pisarz nie będzie miał warunków by pisać książki, jeśli zamiast tego będzie się rozmnieniwał niestannie na drobne w tygodnikach, miesięcznikach, radio, czy w pracy pobocznej, choćby była to nawet obiektywnie pożyteczna praca w świetlicy lub urzędzie. Pisarze są ponoć, żeby pisali książki — taki jest ostateczny sens obietnicy Manifestu, tak ją rozumieją sami pisarze.

Okazuje się, że nie jesteśmy odosobnieni w naszych trudnościach. Oto w nr. 28 „Tygodnika Powszechnego“ znalazłem artykuł T. J. Brzezińskiego o „Budżecie pisarza angielskiego“. Artykuł ten omawia wyniki ankiety przeprowadzonej wśród literatów angielskich przez redakcję miesięcznika „Horizon“. Z odpowiedzi wynika, że nasi angielscy koleżacy są w sytuacji równie trudnej, a być może i z uwagi na skromniejszą ilość prasy literackiej, nawet gorszej niż my. Przewszystkim pisarzom angielskim domagają się ulgi, która pisarzom polskim dostanie się, ku dowodowi. W Polsce, jak wiadomo, 50 proc. dochodów z pracy artystycznej, literackiej i naukowej nie podlega opodatkowa-

niu, Rozpiętość zadań materialnych pisarzy angielskich jest duża: od 3500 do 400 funtów rocznie. Najczęściej wymieniana jest kwota 1000 funtów rocznie, a więc kwota, której, jak dotąd nie osiąga żaden z polskich pisarzy w przeliczeniu na złote. Zacytujmy kilka zdań z omawianego artykułu: „budżety pisarskie opatrzone są licznymi komentarzami. Z przekąsem pytają pisarze, czy za rzecz dla pisarza potrzebną uważa się także kupowanie książek, podróże zagranicę, możliwość przyjmowania przyjaciół itd. Oczywiście wszyscy uważają, iż są to rzeczy nieodzowne”. Dalej czytamy: „...człowiek który nie podróżuje — pisarz z prawdziwego zdarzenia powinien wyjeżdżać za granicę co roku — nie może właściwie być człowiekiem kulturalnym i musi stać się zaśniedziałym prowincjałem. Człowiek, który nie ma ładnie urządzonego mieszkania i osobnego pokoju, w którym ma możliwość idealnej izolacji, pisać właściwie nie może”.

Wśród wielu trafnych uwag, cytowanych przez autora artykułu, znajduję jeszcze jedną, jak mi się wydaje najważniejszą „...rze-

czą mającą dla pisarza wartość istotną jest nie pieniądze — lecz czas...” Oto poco potrzebne są pisarzowi, malarzowi czy muzykowi pieniądze!

Wydaje mi się, że system społeczno-ekonomiczny Wielkiej Brytanii nie będzie w najbliższych latach sprzyjał wypełnieniu postulatów pisarzy angielskich. Natomiast mogą i powinny być spełnione w Polsce postulaty pisarzy polskich: skromniejsze i mniej ambarasujące od zadań ich angielskich kolegów (kto z nas marzy o pięknie urządzonym mieszkaniu? Podobno nikt z pisarzy śląskich nie mógł przyjąć u siebie naszych czeskich kolegów, bo pisarze śląscy albo wogóle nie mają mieszkań, albo mieszkania te są bardzo źle urządzone!).

Na tę ważną i zasadniczą sprawę, jaką jest prawo pisarza do dysponowania czasem, należy zwrócić uwagę odpowiednich urzędów w trzecią rocznicę Manifestu, poto, by tak jak zostały spełnione wszystkie jego punkty, został spełniony i ten — nie mniej ważny — który gwarantuje sztuce poparcie i opiekę. **ph.**

Noty

Nowa deportacja 2.500 Greków

2.500 Greków, aresztowanych w Atenach, zostało natychmiast deportowanych na wyspę Spithalia w zatoce Salonickiej. Aresztowania na prowincji i w szeregach armii greckiej trwają. Uważa się, że aresztowani zostaną oskarżeni o zdradę stanu.

Zastępca ministra spraw wewnętrznych oświadczył, że „rząd musiał działać bez zwłoki w interesie publicznym”. Koalicja lewicowa EAM zapelowała do narodów demokratycznych całego świata o interwencję. Apel stwierdza, że „ucisk monarchistyczno-faszystowski, wykonywany przy pobłażaniu zagranicy jest jedynie dowodem tchórzostwa. Rząd próbuje przy pomocy bezczelnych kłamstw przysłonić swoją odpowiedzialność. **bh.**

Amerykańskie wydawnictwa propagandowe

Izba Reprezentantów zaaprobowała opublikowanie przygotowanej przez bibliotekę Kongresu książki p. t. „Faszizm w akcji”. Uprzednio za zgodą Kongresu wydano jako oficjalne wydawnictwo książkę p. t. „Komunizm w akcji”. Wydanie obecnej książki spotkało się z silnym oporem Izby i projektodawca jej — poseł demokratyczny Wright Patman długie miesiące walczył o zgodę na publikację. Niemniej charakterystyczne jest, że podczas gdy „Komunizm w akcji” ukazał się w ilości pół miliona egzemplarzy, „Faszizm w akcji” będzie wydany tylko w ilości 1500 sztuk, a następne wydania zależą od zapotrzebowania publiczności.

W debacie nad wydaniem książki zaznaczyła się różnica zdań w sprawie określenia Hiszpanii Franco jako „ustroju faszystowskiego” oraz nad zawołaniem wzmianki o udziale amerykańskich koncernów w niemieckich kartelach, które służyły celom politycznym Hitlera. Poseł Patman sprzeciwił się wszelkim zmianom w tekście tak, że książka zostanie wydana w pierwszej redakcji. **bh.**

Polemika

Sprawozdawca prasowy „Nowin Literackich” (Nr. 17) był łaskaw zająć się moim fachowym i małooczytelnym artykułem „Nad książką antynaturalistyczną” („Kuźnica” 24 — 25). Jestem wdzięczny za trud i wnikliwe omówienie mego przydługiego artykułu w sposób zwięzły i jasny.

Sprawozdawca „Nowin” zestawia jako gałtunkowo równoważne moje rozważania i piękny, głęboki artykuł programowy J. Zawieyskiego „Zagadnienie literatury katolickiej” („Tygodnik Powszechny”). Zestawienie takie jest, jak sądzę, zbyt dowolne, w jakimże bowiem sensie podobną jest moja opisowa analityczna praca do merytorycznego normatywnego szkicu z teorii literatury Zawieyskiego? Prace te sformułowane są w dwu zasadniczo różnych językach, językach nieporównywalnych. Moje rozważania są teorią nauki o literaturze, Zawieyski zaś daje program samej literatury. To są bardzo różne zakresy mimo podobieństw pozornych, słownych. To też nie może ominiąć milczeniem pewnej uwagi krytycznej mego sprawozdawcy. Pisze on: „Zawieyski jest nad wyraz wstrzemięźliwy; stwierdza, że odpowiedzi jego „nie usprawiedliwiła żaden naukowy badawczy obiektywizm”. Zółkiewski wygłasza swoje prawdy — jak to się mówi czasem — „na sto dwa”, z pewnością siebie matematyka. W gruncie rzeczy w obu teoriach jest taka sama mniej więcej doza dobrej wiary w ich naczelnie założenia”.

Otóż mój sceptyczny sprawozdawca nie ma racji.

Nie mogę rozstrzygać jaką wydaje się ta czy inna wypowiedź czyjemuś subiektywnemu poczuciu prawdy. To jest doprawdy sprawa subiektywna. Ale Zawieyski ma rację, gdy otwarcie przyznaje, że jego normatywnych tez nie potwierdza żadna obiektywna analiza. Bo tak jest w istocie. Zawieyski nie liczył się świadomie z rygorami naukowego myślenia.

Natomiast ja nie czyniłem takich zastrzeżeń, gdyż niezależnie od tego czy twierdzenia moje są pewne „na sto dwa”, czy tylko prawdopodobne w stopniu właściwym rozważaniom naukowym, ja liczyłem się z rygorami naukowymi myślenia, unikałem normatywnych dowolności. Tezy moje miały charakter analityczno-opisowy. A więc raczej przednaukowe, nie teoretyczne, nie tezy wyjaśniające.

W każdym bądź razie moje rozważania właśnie swoją niedowolnością i sprawdzalnością różnią się od najgłębszych postulatów

K O R E S P O N D E N C J A

Szanowny Panie!

Jestem wściekły i nie mogę Panu wypowiedzieć tego co myślę, przesyłam więc odpis z „Głosu Wielkopolskiego”, Rok III, Nr. 189 P. Wydanie AB Poznań, sobota 12 lipca 1947 str. 3a; urywek jest wyjęty z „Kroniki ostrowskiej”.

„Działali na szkodę polskiej ludności

- 1.
- 2.

August Kurtz, jako członek SA tak przejął się zasadami „Herrenvolku”, że bił po twarzy niekłaniających mu się Polaków i zły ich słowami: „ty polska świnię”. Poza tym spowodował śmierć Franciszka Maszaka, przez zrobienie na niego donosu, stwierdzającego rzekomo prześladowanie Kurtza przez Maszaka przed wojną. W efekcie tego donosu Maszak został aresztowany, wywieziony do Fortu VII do Poznania i tam rozstrzelany.

Sąd skazał Kurtza na trzy lata więzienia, utratę wszelkich praw na okres lat dwóch oraz przepadek całego mienia na rzecz Skarbu Państwa”.

Panie Redaktorze, to się czyta jak bajkę, czy Niemcy może nie za mało bili? Może ten sędzia wyrokujący dziwnym trafem nie dostał od nich po buzi? A szkoda, może by wiele rzeczy zrozumiał. Sam straciłem połowę swej rodziny i to właśnie w Ostrowie, nie też dziwnego, że brak mi słów. Czy ci ludzie zwiariowali, przyjechali z innej planety, czy mają złą wolę? Najroźnniejsze przypuszczenia przychodzą mi do głowy. Nie umiem pisać, nie mam możliwości tego rozgłosić, więc zwracam się do Pana. Proszę przezrzeć wyroki Sądu ostrowskiego, zamieszczane są dość często w „Głosie” i kilka słów napisać w imieniu nas, którzy milczymy, bo nie umiemy pisać.

Czytelnik

Do Redakcji „Kuźnicy” w Łodzi

Życzenia korespondenta Panów („Jeden z nielicznych studentów fizyki”, p. „Kuźnica” z 8 lipca) będą mogły w niezbyt długim czasie ulec częściowemu przynajmniej zaspokojeniu. Mianowicie w przygotowaniu do druku znajduje się przekład znanego podręcznika fizyki Westphala dokonany z inicyatywy p. Pawła Olszewskiego przemysłowca i zarazem entuzjasty nauk ścisłych (w szczególności fizyki i chemii) — przez prof. B. Gawęckiego (Wrocław) i niżej podpisane. Do przekładu użyto ostatniego (XI) wydania z 1934 r. i uzupełniono go wzmiankami o najnowszych postępach nauki w omawianych dziedzinach.

Przy tej sposobności warto może raz jeszcze podkreślić ogromne trudności, jakie się spotyka przy druku t. zw. „składu matematycznego”. Trudności te są wynikiem z jednej strony — dewastacji wojennej i okupacyjnej naszych drukarni, z drugiej — braku dostatecznej liczby wykwalifikowanych pracowników. Dlatego też i koszty tego rodzaju wydawnictw (na pewno bardzo wysokie, jeśli chodzi o kieszeń studenta czy innego pracownika umysłowego) muszą być z konieczności znaczne, jeśli wydawnictwo ma choćby tylko pokryć koszty własne.

Łącząc wyrazy poważania

W. Kapusiński

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do notatki na ostatniej stronie „Kuźnicy” Nr. 25 z 10.6.47 p. t. „Sprawy wydawnicze” a podpisanej „złk”, pozwalamy sobie donieść, że wymieniony tamże słownik filozoficzny prof. Zawirskiego jest w tej chwili przygotowywany do druku i w najbliższym czasie będzie oddany do drukkarni do składania. Słownik ten ukaże się

nakładem naszej firmy. W ten sposób jedno z dzieł z zakresu humanistyki, a więc dziedziny która — jak widać z artykułku — leży W. Szanownemu Panu Redaktorowi szczególnie na sercu, doczeka się w stosunkowo niedługim czasie swego miejsca na półkach księgarskich.

Z wyrazami prawdziwego szacunku
Księgarnia — Wydawnictwo i Skład Nut
Wiedza — Zawód — Kultura
Kraków, ul. Sławkowska 3
Tel. 596-32 — P.K.O. IV 292

Kraków, 5 lipca 1947 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zachęcony notatką „jednego z nielicznych studentów fizyki” z Nr. 27 „Kuźnicy” chcę poruszyć zagadnienie pokrewne, a mianowicie sprawę zaopatrzenia bibliotek uniwersyteckich w dzieła z dziedziny nauk ścisłych. Nie zasięgałem wprawdzie informacji o sytuacji w bibliotekach innych uniwersytetów, ale przypuszczam że jest nielepsza niż w Bibliotece Jagiellońskiej. A tu sprawa wygląda bardzo smutno.

W dziale nauk ścisłych czytelnicy Bibl. Jagiellońskiej znajdują się trochę podręczników niemieckich, z których tylko nowe wydania mają wartość, a tych jest niewiele. Z nielicznych książek polskich większość jest zagubiona. Otwórzmy dla przykładu dział „Chemia nieorganiczna” katalogu: Holleman — brak, Zawidzki — brak, Kendall — brak, Tołżeczko — brak. A są to wszystkie podręczniki podstawowe!

Nie lepiej przedstawia się dział podręczników fizyki.

A jak przedstawia się sprawa uzupełniania zbiorów czytelnicy tymi nielicznymi wydawnictwami powojennymi? Otóż, w Bibliotece nie ma ani I tomu Rachunku różniczkowego i całkowego Łomnickiego, mimo iż był wydany w 1947 roku w Katowicach, ani Rach. różn. i całk. w. prof. Lejla, wyd. Polskie Tow. Matematyczne Kraków 1947, ani Elementów chemii fizycznej prof. Kamińskiego wyd. Czytelnik 1947, ani Zarysu fizyki współczesnej, dr. Adamczewskiego, wydane w Gdańsku w 1946. Krócej mówiąc — nie posiada ani jednej z wydanych po wojnie książek z dziedziny nauk ścisłych.

Wiąże się z tym kwestia uzyskania nowych wydawnictw zagranicznych. W związku z olbrzymimi postępami, jakie uczyniła fizyka i chemia w latach wojny, a które nie tylko dla studentów, ale też dla naukowców polskich były niedostępne, sprawa ta nabiera specjalnej wagi. Tymczasem poza 2 lub 3 angielskimi książkami chemicznymi nie więcej w czytelnicy nie znalazłem. Możliwe, że istnieją trudności uniemożliwiające nabywanie wydawnictw angielskich i amerykańskich (choć nie wierzę, by przy odpowiednio energetycznych staraniach trudności tych nie udało się usunąć), ale nikt mnie nie przekona, że nie można również uzyskać doskonałych podręczników rosyjskich, których szereg nabyć można... o pięć minut drogi od Biblioteki Jagiellońskiej, a mian. w księgarni Tow. Przyjaźni Polsko-Radzieckiej przy ul. Batorego 14. Dodac wypada, że język rosyjski cieszy się powodzeniem wśród studentów i książki rosyjskie obecnie nabyte okazały się jeszcze bardziej potrzebne w niedalekiej przyszłości, gdy studenci opanują język.

Uważam, że dziś, gdy wszyscy rozumieją już, że ilość i jakość fizyków i chemików decyduje o sile nowoczesnego państwa, zarówno sprawa naszych wydawnictw naukowych, o których pisał „jeden z nielicznych studentów fizyki”, jak i sprawa przeze mnie poruszona, zasługują na uwagę. W obliczu epoki energii atomowej czas przewietrzyć biblioteki naukowe.

Z poważaniem
Student U. J.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓLKIEWSKI.

Redaktor naczelny przyjmuje we wtorek, czwartek i soboty od godziny 11 do 13.

Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 305-42.

CENA OGŁOSZEŃ:
Za 1 mm na 1 szpalte 40 zł.

D-015672 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, świrk 2.

no-normatywnych sformułowań, będących wyrazem szczerej wiary i głębokiego przekonania. Ale nie analizy faktów.

Różnice tonu naszych prac nie są rezultatem różnic psychicznych, jak delikatnie sugeruje sprawozdawca „Nowin”. Nie w tym rzecz, że Zawieyski jest tolerancyjny, a Zółkiewski despotyczny, Zawieyski umiarkowany, a Zółkiewski dziecinnie pewien siebie. Przyczyną różnic jest odmiennosc formalna, jakościowa obu prac, pomijając różnice tematów i zakresów. Moja praca liczy się z formalnymi rygorami naukowego postępowania badawczego. Dotyczy danych empirycznych. Zawieyski świadomie odrzuca te rygory. Rozważa świat subiektywnych doznań wiary „prawd” wierzącego. Moja praca jest wyrazem postępowania badawczego, praca Zawieyskiego jest wyrazem pragnień wyznawcy. Proszę więc nie mylić tych tak bardzo różnych rzeczy w naszym czasie świadomego macenia w głowach młodych i niedoświadczonych. Nie podsuwać wiary jako nauki, bo to obskurantyzm, ani nauki jako też do wierzenia, bo to bezsens.

Łudźność, może nie w sposób ostateczny ale dość jasny, rozdziela rygor postępowania badawczego od postawy myślowej wierzącego. Jeśli nawet ktoś nie cení sobie tak wyodrębnionej nauki, nie stawia jej wyżej od wszelkich form fideizmu, niechże przynajmniej tych wyraźnych granic nie zaciera, bo są one jednak wyrazem postępu ludzkiej myśli w XIX wieku. A pojęcia i związki teologiczne, którymi posługuje się Zawieyski, na pewno do nauki nie należą. W moim artykule takich pojęć i związków natomiast nie ma. **złk.**

Nic nie rozumiem

W „Słowie Polskim” z dn. 6 lipca 1947 r. przeczytałem wiadomość, która mną głęboko wstrząsnęła. Oto:

„Nad przemianowaniem ulic, zmianą opłat czynszowych i podniesieniem taryfy opłat za wodę — obradowała ostatnio MRN w Wałbrzychu.”

W toku zebrania zmieniono nazwy następujących ulic: ul. Roli Żyrmierskiego na ul. Gen. Świerczewskiego; ul. Osóbki Morawskiego na ul. Bohaterów Ghietta i Plac Bolesława Bieruta na Plac Mieczysława Niedziałkowskiego”.

Nic nie rozumiem! Czyżby w Wałbrzychu była rewolucja? Ale kto doszedł do władzy: Dąbrowszczacy? P.P.R.-owcy? P.P.S.-owcy? Nie wychodzi. Może Żydzi albo cykliści? Nic nie rozumiem. Nie jestem wielkim zwolennikiem nazywania ulic imionami osób żyjących, ale kiedy już raz uchwalono, nie ma chyba żadnego powodu do tak nagłych zmian.



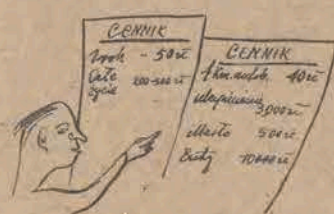
Ulic w Wałbrzychu chyba nie brakuję. Zawsze było to miasteczko dość duże. A może na Dolnym Śląsku taka lokalna moda, abć co miesiąc zmieniać nazwy miast, stacji kolejowych i ulic?

A może obłąkami opanowali czcigodną MRN w Wałbrzychu? Nic nie rozumiem. Poeciemy się tylko, że tytuł całej wzmianki brzmi „Kronika wydarzeń” **rkm**

Tanio

W odpowiedzi na zarzuty pobierania wygórowanych cen za usługi kościelne — EM w „Głosie katolickim” tłumaczy:

„Przyjrzyjmy się „cennikowi”. Za co składa się ofiarę 50 zł? Otóż za to, że za daną osobę ktoś będzie się modlił codziennie przez cały rok? Czy nie uderza tutaj, jak niską jest ta ofiara? Ktoby dziś chciał podjąć się jakiegokolwiek jednoraazowej nawet usługi za 50 zł? Przecież za przejazd 4 km autobusem (np. z Gdańska — Wrzeszcza do Oliwy) co nie trwa dłużej niż 10 minut płaci się 40 zł.



Za co składa się ofiare 200 zł. lub 300 zł.7 Za to, że modlitwom poleca się daną osobę na całe życie i wieczność. Dlaczego mnożnik jest tutaj 4 lub 6 w porównaniu z ofiarą roczną? Gdyby np. jakakolwiek ubezpieczalnia za ubezpieczenie kogoś na rok zażądała 50 zł., to na całe życie opłata nie wyniosłaby pewnie mniej niż kilka tysięcy, bo rozsądny ubezpieczeniowiec zastosowałby mnożnik nie mniejszy niż 20.”

Prosimy przeliczyć w stosunku do cen maśla! **nd.**

KOMUNIKAT

Następny 31 numer „Kuźnicy” podwójnej objętości ukaże się jako numer 100 — 101 (31 — 32) dn. 1 sierpnia b. r. Nr. 33.102 ukaże się dnia 11 sierpnia b. r.